

KAMENIA
DWUTYGODNIK LITERACKIBez czapki
z
dzwonkami

(ARTYKUŁ DYSKUSYJNY)

ANNA TATARKIEWICZ

Czy za czasów Szekspira mędrcy istotnie przywdziewali czapkę z dzwonkami? Milczą o tym nieistniejące wówczas statystyki, ale jakkolwiek się rzecz miała, można wyobrazić sobie inny pogląd, dla którego wielki Stradfordczyk obdarzał swych błaznów głęboką a gorzką mądrością: ten mianowicie, że jeśli tylko Szekspir nie był Baconem, to sam był po trosze takim właśnie mędrcem w blazeńskich szatach, który wypowiadając swe prawdy musiał je przepłatać konceptami na użytek ubogich duchem bogaczy i biedaków.

Nie on jeden.

Przez długie wieki największa nawet literatura nie uchylała się od funkcji rozrywkowych, nie gardziła akcesoriami łatwej, zewnętrznej atrakcyjności. Dzieło Mistrza Rabelais'go było czytane i zaczytywane przez prostaczków nie dla swej filozofii — aczkolwiek filozofia także piekła przy tym swojej pieczę — ale dla uciecznych a niezbędnych cenzuralnych swawoli bohaterów — olbrzymów. Moller swego „Don Juana”, który do dziś dnia nie daje spokoju interpretatorom, napisał dlatego, że temat był w modzie, kokurencyjna firma robiła kokosy na gadającym posągu, i trzeba było na gwałt wstawić do repertuaru coś równie kasowego. Mędrcy XVIII wieku pisali rozprawy salonowym stylem na użytek dam. Defoe z wykładu ekonomii uczynił bestsellera kilku stuleci, nie żałując swemu pierwotnemu kapitaliście, Robinsonowi, urozmaiconych przygód. Nawet mizantrop i ponurak Swift ubrał zjadliwy pamflet na własnych rodaków i na całą ludzkość w formę, która do dziś — o ironio! — czyni go ulubieńcem pogodnych dzieł. Jeszcze Balzac publikował swe powieści w codziennych pismach, dbając o należyte rozłożenie puent na poszczególne odcinki.

Ale czasy zmieniają się, a literatura zmienia się wraz z nimi.

Historia mówi, że zainteresowanie dla dzieła stosunkowo od niedawna idzie w parze z odpowiednim szacunkiem dla twórcy; co wleję — że sami twórcy nie tak dawno dopiero uświadomili sobie godność swego posłannictwa. Zewnętrznym wyrazem tego procesu było zerwanie z mecenatem indywidualnym. We Francji XVIII wieku Lesage pierwszy nie chciał wisić u pańskiej kłamki, a nad rolę lepszego błazna na królewskim czy magnackim dworze — przekładał godny niedostatek. Postawa taka wcale nie rychło stała się regułą. Patetyczny Hugo za swej młodości pobierał nieskąpą pensję z królewskiej szkatuły Karola X.

Poczucie godności literatury — i w ogóle sztuki — krystalizowało się w miarę, jak twórcy coraz wyżej cenili swój udział w walce o wartości moralne i społeczne, jaka rozgorzała na dobre w XVIII wieku. Romantyzm z kolei

wzbogacił samowiedzę artysty o nową nutę: poczucie wyższości, związane z darem przeznaczenia, cechą równie cenną jak wyjątkowość: natchnieniem. „Ty nie jesteś piękną, ale przez ciebie płynie strumień piękności”. Z narastaniem samowiedzy i dumy twórczej idą w parze przemiany w formach mecenatu. W wieku XIX mecenat jednostkowy coraz bardziej ustępuje pola mecenatowi państwowemu i społecznemu. Jedną z istotnych przesłanek takiego stanu rzeczy jest umocnienie się warstwy ludzi wykształconych, zainteresowanych sprawą twórczości, skłonnych obdarzać ją kredytem zaufania. We Francji XX wieku nazwano ich klerkami, w Polsce — inteligencją. Przez sam fakt swego istnienia, przez swój stosunek do literatury — po części pełen zrozumienia, po części snobistyczny — ta kategoria odbiorców, jeśli nie zawsze światłych, to w każdym razie oświeconych — sprzyjała umiarkowaniu się literatury od jej funkcji służebnych, przede wszystkim od tej najwulgarniejszej — rozrywkowej. Literatura coraz radykalniej odrzuca czapkę blazeńską; pisarze — ci przynajmniej — w dość powszechnym umiarze godni swej nazwy — coraz mniej troszczą się o zwabienie i zabawienie czytelnika; wzorem wielkiej literatury staje się Flaubert, dla którego istniały tylko dwie sprawy: nowatorska doskonałość formy oraz bezkompromisowe przekazanie własnej prawdy, bez względu na to, jak zostanie przyjęta.

Z czasem literatura zaczyna odrzucać nie tylko zewnętrzne atrybuty rozrykowości dążąc do wyeliminowania tego, co w formach tradycyjnych z natury rzeczy stanowiło element łatwo uchwytywnej atrakcyjności: fabułę w powieści, akcję w dramacie, wszelką anegdotyczność w liryce. Pierwszych przykładów na te tendencje dostarcza wiek XIX; coraz

„IMIĘ MOJE TAK PRZESZŁO JAKO BŁYSKAWICA...”

ROMAN ROSIAK

Organizowanie imprez kulturalnych, zwłaszcza na szerszą skalę, nie należy w naszym mieście do rzeczy łatwych, często bowiem trudno nawet o zrozumienie, a cóż dopiero o poparcie ze strony kompetentnych czynników. Siędziba pięciu wyższych uczelni i licznych instytucji naukowych i kulturalnych nie bierze zbyt czynnego udziału w aktualnych problemach kultury polskiej. Dużo jest jeszcze u nas obojętności ze strony nie tylko władz ale również samego społeczeństwa.

O ten podwójny mur rozbija się niejednokrotnie wiele cennych i wymagających natychmiastowej realizacji wniosków. Czasami drobna sprawa, nie nastroczająca żadnych wątpliwości, ciągnie się w nieskończoność. Nie pomagają żadne apele i artykuły. Wystarczy przypomnieć, że całymi latami czeka np. ulica Kapucyńska (Daszyńskiego, Osterwy) na przemianowanie na ulicę Czechowicza. Rocznie śmierci czy urodzin pisarzy związanych z Lubelszczyzną kwitują się najczęściej co najwyżej artykułem w „Kamieniu”, „Kurierze Lubelskim” czy „Sztandarze Ludu”, a w najlepszym razie — oczywiście, jeśli jest to możliwe — składa się wieniec na grobie. Czasem jeszcze nazwisko pisarza czy poety lubelskiego

skrajniejszy i powszechniejszy wyraz znajdują one w literaturze naszych czasów. Utwory sceniczne Becketta, obwołanego Szekspirem XX stulecia, są arcydziełem bezakcyjności; w obsesyjnych wizjach Kafki, w konstrukcjach filozoficznych Camusa fabuła nie jest już nawet pretekstem, rola jej i znaczenie zostają zredukowane do minimum, a nawet to minimum wydaje się zagrożone w swym dalszym bytowaniu. Literatura współczesna w swych reprezentatywnych osiągnięciach jest programowo trudna,

pozbawiona elementów zewnętrznej atrakcyjności, a dla czytelnika nieprzygotowanego — po prostu niestrawna. Krąg odbiorców tak pojętej literatury zawęża się z konieczności do elity intelektualnej i to elity bardzo określonego typu: ludzi o wszechstronnym i nie powierzchownym wykształceniu humanistycznym. I tu dochodzimy bodajże do sedna problemu. Od czasów Renesansu w Europie dominował pewien model człowieka kulturalnego —

(Dokończenie na str. 2)

STEFAN ZARĘBSKI

Rozłączeni

I znów nie było listu...

Pośpiesz się, Sally,
Najbliższym cugiem poślij, a napisz mu czule,
To może w nim się jeszcze ta iskra rozpal
Świeżym technieniem. Ty nie wiesz nic? Umiera Julek.

Prawda, tobie nie pisał... (A znów był Hłuszniewicz:
Znowu krew się rzuciła z piersi). Nie śmiał o tym —
I chciał ci rozłabędzie siebie, rozeźpiwieć,
Byś mogła mu wybaczyć te jego suchoty.

Pozdrów od Fortunata, donieś o Ubieniu —
O Filach, jak tam sobie gospodarzą rzewnie
Oczekując go z wiosną. Jeszcze to jesienią
Obiecał przecież... Dowiedz się, czy aby pewnie?

I o sobie, o sobie pisz. Nie żałuj wieści.
A na wieki tę chwilę potem zapamiętaj,
Gdy nakreślisz: — w Paryżu, rue Ponthieu 30 —

Jest. Od niej! Czyta błady. „O, moja ty święta...”

przypomni skromnemu liczebnie audytorium jakiś prelegent. Wołaniem na puszczy są natomiast głosy postulujące organizowanie poważniejszych imprez i powoływanie do życia komitetów obchodu rocznic kulturalnych. Tak np. milczeniem skwitowano apel o uczczenie w naszym mieście 20 rocznicy śmierci Struga. Nie inaczej skwitowano chyba i Rok Wypiańskiego, gdyby nie niezawodna „Permedia”, zawsze pamiętająca o tym, o czym powinien pamiętać Wydział Kultury WRN czy MRN (bodajże poza „Permedią” o autorze „Wesela” pamiętał tylko Zespół Dramatyczny KUL i Teatr Miejski, który wystawił „Kłatwę”). Cóż, o przykłady nie jest trudno. Widać, że mamy tutaj dosyć rozległe i niezbyt pochlebne doświadczenie.

Powyższe refleksje nie nastrajają nas zbyt optymistycznie i w tej chwili, gdy rozpoczyna się Rok Słowackiego, okres, w którym miła 150 lat od daty urodzin i jednocześnie 110 rocznica śmierci największego obok Mickiewicza polskiego poety. Warto się chyba zatem zapytać, czy te wielkie rocznice pozostaną — wzorem już minionych — bez echa?

Na odpowiedź trzeba czekać zbyt długo. Rok się bowiem dopiero zaczy-

na. Lepiej więc zastanowić się nad realnymi możliwościami Lublina i jego udziałem w tej ogólnopolskiej imprezie kulturalnej. Nie pretendując bynajmniej do naszkicowania nawet w zasadniczych tylko zarysach jakiegoś programu, spróbujmy ograniczyć się do wskazania przynajmniej kilku propozycji.

Oczywiście trzeba zacząć od powołania do życia Komitetu Obchodu Roku Słowackiego na Lubelszczyźnie. Wydawać by się mogło, że nie ma nic prostszego. A jednak... Nie ulega wątpliwości, że komitet komitetowi nie równy. Jakże często pierwszej lepszej okazji towarzyszy powstawanie olbrzymiego komitetu, złożonego z kilkudziesięciu osób, reprezentujących WRN, MRN, KW, KP, FSC, PKP, MO, PKO, WSK, PCK itd., itd. Trzeba tu — rzecz jasna — odróżniać komitet honorowy, gdzie rzeczywiście powinni się bezwarunkowo znaleźć przedstawiciele władz Lubelszczyzny, reprezentujących organizacje politycznych i społecznych, zakładów pracy itp. — od komitetu wykonawczego, roboczego, kierującego wszystkimi pracami, w skład którego

(Dokończenie na str. 4)

„Berlo” i spór TEMATYCZNY

STANISŁAW JAN ROSTWOROWSKI

Stefan Lichański w artykule zatytułowanym „Zakazane tematy” pisał — „W tym kraju, w którym co drugi mieszkaniec miasta jest synem lub wnukiem chłopca, temat wiejski lepiej obchodzić z daleka. Samo bowiem jego podjęcie kompromituje”. („Orka” nr 44). Czyżby to nowa walka o tematy? Sama wypowiedź jednak wnikliwego krytyka sugeruje coś więcej: „Możliwość wykorzystania specyficznych odrębności środowiska wiejskiego dla rozwinięcia problematyki, która rzutowana na inne tło mogłaby wiele stracić na wyrazistości i głębi, jest oczywista dla pisarzy... i tu następuje długi ciąg nazwisk: Pirandello, Lawrence, Steinbeck... Czytając ten inny urywek artykułu można przypuszczać, że Lichańskiemu, mimo iż rozpoczął walkę o wprowadzenie zagadnień wsi do polskiej literatury współczesnej, nie chodziło jednak o tematy, lecz raczej o problematykę. Zasadniczo bowiem można uważać, że sam temat jest tylko jednym z rekwizytów literatury.

Nie znaczy to jednak, abym był przeciwny powstawaniu dzieł artystycznych opartych o rekwizyty wsi. Łatwo jednak dostrzec ogromną trudność, jakiej napotkali się ostatnio przed literaturą o problematyce wiejskiej. Przede wszystkim w mentalności polskiej istnieją już od dawna dwie wsie. Ta, która powinna być, i ta, która jest. O tej, która była czy jest, pisali Sienkiewicz, Prus, Orkan, Reymont, Dąbrowska, Jalu Kurek. Wszyscy ci pisarze odnieśli sukcesy. I wydaje się, że w obliczu twórczości tych pisarzy, a szczególnie trzech ostatnich, można podtrzymać tezę, że wizja artystyczna samorzutnie poszukuje sobie rekwizytów. Istnieje jakaś nie podobieństwa pomiędzy problematyką ludzką opowieści Hemingwaya: „Stary człowiek i morze” a nowelą Dąbrowskiej — „Szklane konie”, tylko że amerykański pisarz wyszedł na niekończące się morze, a Dąbrowska zajrzała do stajen dworskich. Jest jakaś wspólna aura totalnej klęski pomiędzy „Dumą” Camusa a „Grypa” Kurka, tylko że jeden autor stworzył miasto nienazwane, a drugi zamknął szych ludzi w Jordanowie i Naprawie. Dzięki wspomnianym pisarzom polskiej wysoko się ceni, znacznie bardziej ze względu na zawartą w nich prawdę artystycznego widzenia człowieka, aniżeli z uwagi na dokonany wybór tematyczny.

Istnieje jeszcze inna grupa pisarzy, których wprowadzić było wiele, ale czytelnikom są mniej znani: Gałaj...

Czytając książki tych pisarzy można łatwo odnieść wrażenie, iż wprawdzie kształtowała się koncepcja wsi, jaka miała być w utworze przedstawiona, a dopiero potem dla tych koncepcji szukano wykonawców — ludzkich bohaterów. I dziś jeszcze nad nowo powstającymi utworami o tematyce wiejskiej wisi groźny puszczak, to jest z góry ustalona koncepcja wsi, przeobrażająca ludzi na kukielki. W świetle tego a priori — naprawdę trzeba bohaterstwa, aby zostać piewcą wsi.

A jednak sytuacja nie jest zastraszająca. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza raz po raz wydaje nowe pozycje poświęcone omawianej tematyce: poprawione wznowienie „Białowiejskich noc” Piętaka, „Kula” Ozoga czy wreszcie „Berlo” Józefa Nikodema Kłosowskiego*). „Berlo” co prawda przedstawia środowisko małego miasteczka, lecz swym duchem prowincjonalizmu zbliża się ku problematyce wiejskiej. Zresztą Kłosowski jest tym pisarzem, którego wizja tworząca we wszystkich powieściach nieustannie jest nasiąknięta wonią i treścią życia wsi. Jego nowa książka doskonale może posłużyć jako materiał do rozpoznania trudności, na jakie napotyka pisarz podejmujący problematykę wiejską czy też w ogóle prowincjonalną.

W „Berle” mamy ukazane środowisko małego miasteczka z krańców wschodniej Lubelszczyzny. Środowisko to jednak jest z gruntu przesłonięte atmosferą wsi. Centralny konflikt powieści wynika właśnie z fermentu, jaki wnoszą do zapadłej miejsciny świadomi swej roli społecznej wykształceni już synowie wsi. Stanowią oni grupę prowincjonalnej inteligencji: doktor, kierownik przychodni lekarskiej,

Julka, absolwentka szkoły pielęgniarzkiej, w pewnej mierze Beck, partyjny kierownik szkoły podstawowej, i wreszcie ksiądz proboszcz, człowiek, który przeżył Dachau. Z drugiej strony widzimy kilkę radnych na czele z chytłym Zajacem, fanatyczną grupę pobożnych niewiast ze swym przywódcą, czołowym plotkarzem wsi — Bekasem i wreszcie Białas, zamawiacza znachora z grupą swych zwolenników.

Ten świat tak mało atrakcyjny wybrała sobie wizja artystyczna Kłosowskiego, pisarza, który z nie narzuconego wyboru powraca myślą do kraju swego dzieciństwa. Jest to wizja par excellence realistyczna. Technąca miłością woni kwiecia jabłoni przydrożnej, zapatrzona na ranny wschód słońca, wizja skrzętnie notująca każdy szczegół architektury wyniosłego kościoła, ratusza i skromnych, wiejskich zabudowań. Język Kłosowskiego czysty, gładki, podchwytyjący równocześnie niuansy gwarowe, ma w sobie coś z precyzyjnej dokładności. Wszystko w tej książce jest nie tylko realistyczne, ale również dokładne. I chyba tu właśnie zostaje przekroczona granica realizmu artystycznego. Można się zastanawiać, czy uczuciowy zwrot ku dobrze sobie znanym regionom, czy też raczej stara integracyjna koncepcja zobowiązująca pisarza do napisania wszystkiego, zdecydowała o tym, że w powieści brak jest selekcji artystycznej.

nej, odczuwa się brak czysto indywidualnego spojrzenia, które narzucałoby odrębne widzenie wsi od tego, które jest powszechne. Pisarz jednak ustrzegł się naturalizmu, nawet ładne scenki erotyczne wprowadzone do książki nigdy nie przekraczają miary. Rzadko jednak autorowi udaje się związać opis przez nasrój z psychiką postaci.

Zasugerował się bowiem problemami. Sprawy higieny służby zdrowia, wielkie kręgi fanatyzmu i ciemnogrodu przerywane walką ludzi, którzy chcą nieść wiedzę i swą pracę wsi polskiej, łapownictwo, bibliotekarstwo i tajny ubój bydła. Znowu integralizm. O wsi trzeba napisać wszystko. Gdyby Kłosowski nie miał talentu kompozycyjnego, który niewątpliwie objawił w „Berle”, książka byłaby ciężka. Lecz wątki wydarzeń, sporów i problemów związane są ciekawą, zmienną nicią akcji i nastrojów. Autor doprowadza do końca konflikt. Judymowe powołanie lekarza, mimo typowo ludzkiej słabości jego wykonawcy, zostaje spełnione.

Kłosowski ludzi widzi prawie wyłącznie jako nosicieli problemów społecznych i przez to są oni typowi i również charakterystyczni dla swego środowiska, lecz na ogół nie są typowi moralnie. I to jest wielką zasługą Kłosowskiego. Nie stworzył bohaterów niezłomnych, bo nawet najbardziej pretendująca do tego miana siostra Julka ma swe momenty załamania. Wszystkie inne postaci ludzkie książki Kłosowskiego są zrozumiale psychologicznie: dobry lekarz Dobosz jest człowiekiem o dość relatywnej moralności, zły funkcjonalnie znachor Białas nie przebiega w środkach dla ratowania swej chorej córki. Mimo prawdy psychologicznej postaci, o rozwoju sensu książki nie decydują wewnętrzne skłonności ludzkie, lecz wydarzenia. Samodzielność sylwetek ludzkich zo-

staje ograniczona przez skomplikowaną sferę problematyki wiejskiej, wobec której posłaci pełnią rolę służebną. W książce daje się odczuć pewne skrupowanie pisarza, który jakby się obawiał, że rozwijając indywidualną wizję artystyczną nie spełni wszystkich postawionych przed nim wymogów obranego tematu. A temat nieustannie narzuca szczegóły, konkretne, doraźne rozwiązania socjologiczne. Ten wielki temat wiejski, o który walczy krytyka, kępuje poszukiwania problemów indywidualno-ludzkich, rozbija jedność artystyczną wyrazu i humanistycznych prawd ludzkich, nad którą to jednością wisi z góry upatrzony tematycznie obraz wsi.

Kłosowski dokonał jednak jednego wielkiego dzieła. Napisał książkę pojęciowo prawdziwą i przez to zarazem obiektywnie moralną. Dostrzegł to, że jest bieda, zacołanie, przeprowadził właściwy rozkład akcentów na linii prostobowstwo — społeczeństwo prowincjonalne — partia, przyglądając się z sentymentem pracy tych nieraz niedocenianych, prowincjonalnych działaczy wsi, z jakąś głęboko ludzką a zarazem rozsądną uczuciowością śledził trudną drogę postępu i rewolucji, spóźnionym echem sięgających do naszej prowincji. Słowem można powiedzieć, że stworzył problemowo obraz wsi, która jest.

Owa prawda tej książki upewnia nas, że istnieją perspektywy przed polską epiką wiejską. Ale nie trzeba werbować pisarzy, by wykazywali potrzebne tematy. Bo jak świadczy nawet i przykład „Berla”, zasugerowanie się tematem uszczupla artystyzm dzieła. Nam chodzi raczej o coś innego. O książkę, która by problematykę ogólnoludzką zaszczepiła na grunt chiopski, by ukazała człowieka-chłopa w starciu z całym skomplikowaniem współczesnego świata.

BEZ CZAPKI Z DZWONKAMI

(Dokończenie ze str. 1)

— model uniwersalistyczny z wyraźną przewagą elementów humanistycznych. Czy przy obecnym stanie nauki, przy specjalizacji wiedzy oraz szybkiej technicyzacji społeczeństwa — taki model ma szansę dłuższego przetrwania? Ostatnio zdarzyło nam się przysłuchiwać dość znamiennej dyskusji prowadzonej w gronie naukowców od adiunkta w górę. Brali w niej udział przedstawiciele nauk ścisłych trzech pokoleń: najstarszego (około 70 lat), starszego-średniego (ok. 50 lat) oraz młodszego (około 35 lat). Postawiono problem: Lektura współczesnej beletrystyki nie jest łatwą rozrywką ani wytchnieniem, wprost przeciwnie, wymaga znacznego wysiłku intelektualnego, nie mówiąc już o nakładzie czasu. Czy wysiłek ten jest proporcjonalny do korzyści światopoznawczych i innych, jakie się z niej wynosi? Czy nie rozsądniej ten sam czas i trud poświęcić na pogłębianie wiedzy ścisłej i sprawdzalnej, zwłaszcza że ona to w ostatecznej konsekwencji decyduje o obliczu współczesnego świata? Obecni podzielili się na dwa obozy, przy czym granica między nimi była chyba istotniejsza od argumentów, jakie padały: była to granica pokoleń. Najstarsi i starzy wypowiedzieli się stanowczo za uniwersalizmem kulturalnym, a więc i za bliskim kontaktem z literaturą, młodszy — kontakty takie uważali za czas stracony. Przy czym trzeba zaznaczyć, że młodszy nie pokrywali tą postawą własnej ignorancji, gdyż osobiście reprezentowali wszechstronność zainteresowań, wymagana przez uniwersalistyczny model kultury. A przedstawiciele starszego pokolenia przyznawali po cichu, że literatura współczesna jest dla nich w dużej mierze księżą zamkniętą (znajdując się w tym samym obozie Brzechwy, którego Kisiel ostatnio tak brzydko apostroponował w „Tygodniku Powszechnym” za nierozumienie współczesności).

Jest chyba faktem nie ulegającym wątpliwości, że właściwy adresat i odbiorca wielkiej, trudnej literatury współczesnej — to uniwersalistycznie-intelektualna elita społeczeństwa. Jest duże prawdopodobieństwo, że w ciągu najbliższych dziesięcioleci lat, a może jeszcze rychlej — elita owa dość radykalnie zmieni swe oblicze, tak ze względu na postzerzenie społecznej bazy rekrutacyjnej, jak — przede wszystkim — z racji zadań, stawianych przez zawrotny rozwój nauki i techniki.

Literatura współczesna w poczuciu swej godności stawia sobie cele naj-

wyższe — bezkompromisowego odkrywania prawdy wiążącej nowe, głębszej prawdy o człowieku i ubieraniu tej prawdy w adekwatnie nowatorską formę. Od odbiorcy — a zarazem pośrednio mecenasu — żąda z ufnością wysiłków, proporcjonalnych do wielkości celu. Wierzy, że odbiorca gotów będzie iść za prawdą, za samą prawdą, nie przystrojącą w dźwięk dzwonek błazeńskich.

Ale czy ta wiara ma dostateczne uzasadnienie w faktach społecznych? Jaki los czeka literaturę, jeśli zawiodą ją ci, którzy dotychczas pozostawali wierni i bodaj ze szlachetnym staraniem dotrzymać jej kroku?

Chyba nigdy jeszcze nie było takiego rozjęcia się między literaturą wielką a literaturą powszechną. Przypomnijmy: szekspirowski „Globe” był teatrem londyńskiego plebsu. Komedia Moliere’a na równi z dworem oklaskiwała paryskie pospólstwo. „Wertherem” zaczytywała się młodzież drobno-mieszczańska i drobno-szlachecka całej Europy. Mickiewicz szczylił się wzięciem u „ochmi-strzyni cór”. Trwająca po dziś dzień popularność pisarzy XIX-wiecznych rozpoczęła się — poza nielicznymi wyjątkami — za ich życia. Oczywiście że czytał nie tylko dzieła znakomych autorów, rzecz w tym, że czytał także ich dzieła.

Dziś literackim chlebem powszednim masowego czytelnika są w najlepszym razie klasyki powieści XIX wieku, kryminały oraz czysto rozrywkowa literatura współczesna, w najgorszym — „comicy” z popularnych czasopism i... Mniszkówna.

Jakie są perspektywy literatury współczesnej w świecie jutra?

Czy powtórzy się na większą skalę „casus” Stendhala, który za życia pisał dla „happy few” (karstki wybrańców), by w sto z czymś lat później zdobyć już nie tylko entuzjazm znawców, ale — m. in. dzięki ekranizacji swych utworów — weale szeroką popularność wśród „szarych” czytelników? Czy może utrzymać się dwutorowość, a raczej dwupoziomowość literatury — tej wielkiej a hermetycznej dla elity o odpowiednim przygotowaniu, i tej przystępnej, a za to bez ambicji — dla wszystkich innych? (tu można wysunąć argument, że taka „literatura dla specjalistów” byłaby jakimś odpowiednikiem coraz dalej idącej specjalizacji we wszystkich innych dziedzinach życia, że fakt ten wiąże się z coraz to bardziej złożonym obrazem świata, jaki współczesność daje nam w udziale). Czy też na ko-

niec w odpowiedzi na zapotrzebowanie społeczne powstanie jakiś nowy rodzaj literatury, która potrafiłaby połączyć powaby zewnętrzne z realnymi walorami intelektualnymi i formalnymi — jak dawniej bywało? Czy możemy wyobrazić sobie na przykład autentyczną literaturę zrodzoną z „comicsów”, stanowiącą jakiegoś zespolenie słowa z elementami wizualnymi? — trudno doprawdy pomyśleć sobie takie „comics-arcydzieła”, ale ostatecznie z końcem XVIII wieku konesery także nie wyobraził sobie, że współczesny dramat pocnie się z wyklętych przez dobry smak i w istocie wulgarnych melodramatów...

Poruszyliśmy w formie szkicowej kilka problemów i rzuciliśmy parę pytań. Wiemy, że nie podobna dać na nie pewnej i stanowczej odpowiedzi, ale może jednak warto się nad nimi zastanowić.

P. S. Uwagi nasze wpadły w ręce pewnego zjadłego przedstawiciela nauk ścisłych. Oto jego komentarz:

Widać, że pisał to humanista. Człowiek o wykształceniu nowoczesnym, a matematyczno — przyrodniczo-technicznym, skłonny jest widzieć sprawę inaczej. Literatura, wygrawszyszy do końca swą rolę, rolę dostarczyciela rozrywki, filozofii, światopoglądu i wartości poznawczych (o ile w ogóle te ostatnie kiedykolwiek posiadała) — traci całe, czy prawie całe swe znaczenie, ale sama przed sobą nie chce się do tego przyznać. Dlatego stwarza sztuczne problemy formy, dziwności, pseudogłębi. „Rem tene, verba sequuntur” mówił Rzymianin. „La pensee claire s'enonce clairement” — wtórował mu poprzez wieki Boileau. Gdy „res” zawodzi i słowa idą opornie. Zjawiska takie są w historii-myśli aż nadto znane, powtarzały się wielokrotnie. Był na przykład piękny prad, zapoczątkowany wśród filozofów-nominalistów w XIV wieku, a stanowiący początek nowożytnych badań matematyczno-przyrodniczych. Nie sięgnąwszy do obserwacji (których zaczęto dokonywać dopiero pod koniec XVI wieku), zjadł on szybko swą substancję i przekształcił się w drugiej połowie XV w. w osławioną przez humanistów „scholastykę”. Dziś znów nauki ściśle biorą rękaw — na jak długo? na lat 50? 500? na zawsze?...

Anna Tatarkiewicz

UWAGA — W NASTĘPNYM NUMERZE ANKIETA LITERACKA „KAMENY”!

*) J. N. Kłosowski: Berlo, LSW, 1988.

PORTRETY NIEOBIEKTYWNE

(FRAGMENTY •)

HALINA MARIA DĄBROWSKA

po drażku, nie odrywając zaciśniętych palców. Kochała Hanię, łaskawa była dla Zofii. Panią Annę pomijała, nie śmiejąc być jej wrogią.

Czy za tej bytności poznałam małego zajca, o wiecznie ruchliwym nosku i uszach, mieszkającego w krzaczku — nie pamiętam. Wiem tylko, że wszystkie nas ogromnie zajmował motyl wyległy z poczwarki na ten za wczesny dla niego czas.

I znowu, jak u nas w domu, jak zawsze, gdy udało mi się zatrzymać motyla u siebie w mieszkaniu, na nowo z wzruszeniem witałam wiotką zjawę. Jak na oczach rosy tu skrzydła, paż królowej czy kapustnik odwijal zwinęta do środka trąbkę, aby dotrzeć do wnętrza podsuniętego mu kwiatu w pokoju ciepłym, gdy wokoło jest zima. Rozstając się ze zwierzętami, po wieczornej herbacie, spędzałam długie godziny u Zofii. Słuchałam, słuchałam... Czy śmiałam sama coś mówić? — Raczej nie...

Widziani i poznani

Po powrocie z Grodna i osiedleniu się na stałe w Warszawie, Zofia często zabierała mnie do kawiarni.

Nigdy nie lubiła znaleźć się w miejscu publicznym sama. Często szłyśmy do Ziemiańskiej na Mazowiecką. „Parnas” zajmował półpiętrze. Był to jednocześnie stolik redakcyjny „Wiadomości Literackich” i „Skamandra” — dostać się do tego środowiska nie było łatwo. Zofia siadywała na dole, dopiero na wyraźne zaproszenie szła na górę.

Wolała sama być ośrodkiem i też zaraz wokół niej gromadzili się różni znajomi pisarze.

Wybitne talenty skamandrytów stwarzały tak odrębną grupę, hermetycznie zamkniętą, że nawet Nalkowska odczuwała pewną rezerwę wobec nich.

Najdowcipniejszy człowiek w Warszawie, świetny poeta Antoni Słonimski, autor cotygodniowych kronik, krytyk teatralny, trzymał się od tchu z daleka, zapewne tak się bronił od natręctwa. Łata przynosiły mu nie tylko rozgłos i sławę, lecz i skromność obejścia.

Siadywał on na półpiętrze, przy nim skupiali się inni. Gdy znalazł się tam Lechoń — przeważnie był milczący. Niewiele się o nim dalo powiedzieć patrząc na niego z daleka, prócz tego że jest żałosny i zamyślony. Heroiczny poeta uciekał od ludzi zdaje się z istotnej potrzeby samotności.

Iwazkiewicz, jeśli się pojawił, był najbardziej bezpośredni i prosty. Człowiek wsi, a jeszcze nie dyplomat, nie odmierzał, jak komu się uklonić. W geście, proporcji słowa nie dzielił ludzi — lecz ich równał. Głównie wówczas poeta, już stał pierwszą prozą wnik-

*) Z książki „Portrety nieobiektywne”, mającej się ukazać nakładem „Czytelnika”.

liwe przenikał widzeniem ludzi, tła i zapowiadał, kim się stanie — dziś w szeregu najlepszych prozaików.

Niekiedy wśród Parnasu znalazła się na chwilę Maria Pawlikowska i buntownicza Madzia Samozwaniec, płomienna Irena Krzywicka, zamyślony Boy-Zeleński, rzadko na kogo łaskaw, okryty dymną zasłoną zamyślenia.

Wierzyński, ulubieniec młodzieży, płową czupryną i uśmiechem rozjaśniał kąty łoża ziemiańskiej, a poezją swoją i pogodą nasyczał zaranie Polski.

Stolik powiększał się, narastał coraz to nowymi postaciami. Przychodził Stanisław Baliński, emanujący z siebie dobroć serca, smak odczuć i słowa, poprawność form i ubrania cechowała tego poetę i emezetowca. Janina Konarska, doskonała plastyczka, Telakowska czy żywo reagująca Hanna Zahorska niedługo tam często.

Wpadał ciemny, bystry, dla każdego ujmujący Mieczysław Grydzewski, wysmienity redaktor „Wiadomości Literackich”, ażeby się podzielił ostatnimi nowinami. Wkraczał Emil Breiter, adwokat, obrońca w sądzie, a surowy krytyk na lamach pisma — „Wiadomości Literackich”. Był on pewną zagadką — człowiek stronnictwa urzędowego Kadena-Bandrowskiego, jego przyjaciel, pisywał w tygodniku ugrupowania przeciwnego i stał się wyrocznią w literaturze. Nie krytyk tej miary co Boy i Irzykowski, recenzent nie teoretyk, ustalał na giełdzie literackiej wartości poszczególnych talentów. Działem jego była krytyka prozy, którą traktował z dawakowo. Nie siłk się na esesje ani samodzielny sąd.

Poniżej, na sali kwadratowej, zastawionej brzydkimi stolikami, siadali różnych zawodów artyści. Ci tworzyli odrębne konstelacje. Ziemiańska gromadziła wielu odmiennych bywałości, smakoszy — dla dobroci pączków i ciastek.

Nie mieszczący się w drzwiach wtaczał się Fiszer, filozof, dowcipniś. Również obrzymi Dzierża-Dzierzbicki, stawiający horoskopy.

Młody, a już wówczas wybitny Władysław Broniewski, popijał pół czarnej w gronie najbardziej komunizujących pisarzy.

Do Zofii Nalkowskiej zbliżał się ten i ów. Dla każdego miała nowy dowcip i uśmiech. Roztaczała tyle blasku, że na drugą osobę przy niej nie było miejsca, toteż panie, w tamtych czasach, zwykle unikały jej stolika. Mężczyźni za to otaczali ją rojem.

Nagle wszyscy odwracali głowy — to wchodził Tuwim.

Ziołęły, suchy, łwi. W popielatym ubraniu, z myślim znamięm na policzku. Jak to się działo, że zdradzał swą nieprzeciętność twarzą, postacią... Poezja i on jakby się pokrywały. Sama jego sylwetka do przesady chuda — wydawała się struną muzyczną.

Niezmierna jego uprzejmość nie była jak zwykle zabezpieczeniem się od spoufalenia. Miał zaufanie do człowieka. Był „ludzki”, to znaczy czuł, że jest własnością ludzi, i to rozumiał, że spłaca im dług zaciągnięty u losu, dług swego talentu, że jest poetą. Sposób bycia światowca, żarliwość twórcza, która go przepalała, ujmowała wszystkich. W tym gronie nawet dla ludzi spoufalconych ze sztuką stawał się zjawiskiem wyjątkowym.

Piękna, biała żona była pełnym blasku księżycem odbijającym jego promień. Ale zmieniając praca wszechświata, on, słońce, obracał się koto lony — swego natchnienia.

Dość hulaśliwie pobrzekując szablami, wchodził ulani. Ich czaka, kolorowe lampasy u spodni, zawadka czy wymuszona postawa bawiła spojrzenia. Naprzód się wysuwał postawny, nonszalancki Wienia-

(Dokończenie na str. 4)

Z książki wspomnień

Pamiętam tę jedną wczesną wiosnę. Smutki mojej młodości, a może i radości, kazały mi przyjechać, ażeby znać ciepła przyjaźni. Śniegiem pokryte pola były miłsze moim oczom niż latem, kiedy zdradzały swe ubóstwo. Pod powiekami miałam jeszcze bujność innej ziemi.

Zdziwiłam się, że drzwi domu zastałam zamknięte. Ktoś mi wyjaśnił, że panie są na ślizgawce. U podnóża ogródku woda łąk zakrzępla w tafli. Mrok nadawał jej barwę błękitną. Wśród rozległej pustki owego stawu krążyły trzy wysokie postacie. Panie Nalkowskie holidowały znakomicie. Były tu same, nie po to, żeby je kto podziwiał. Zofia w obcisłym kostiumie, w podłużnej czapce z woalką i z muską utrzymywała się na ostrzu tyżwy płynąc w dal. Wypisywała zawiły wzór linii abstrakcyjnych, nie zrealizowanych w konkretnym. Trzy postacie, matka i dwie córki, skupiały się i rozbiegały w różnych kierunkach. Niebo różowało od zachodu, potem gasło, a taniec ciemnych postaci wciąż trwał.

Nie przerywałam, patrząc z góry na płynność gestów, otulając od mrozu kwiaty, które przywiozłam.

Dopiero w domu okazało się, jak mi są radzi. Kwiat japońskiej wiśni, wiele gałęzi przywiezionych przeze mnie, dużo sprawiły tu radości.

W wazonie różowe różgi stały na fortepianie. Proszono mnie, żebym grała, przeważnie sonaty Mozarta, ale też i zbanalizowaną „Wiosnę” Griega.

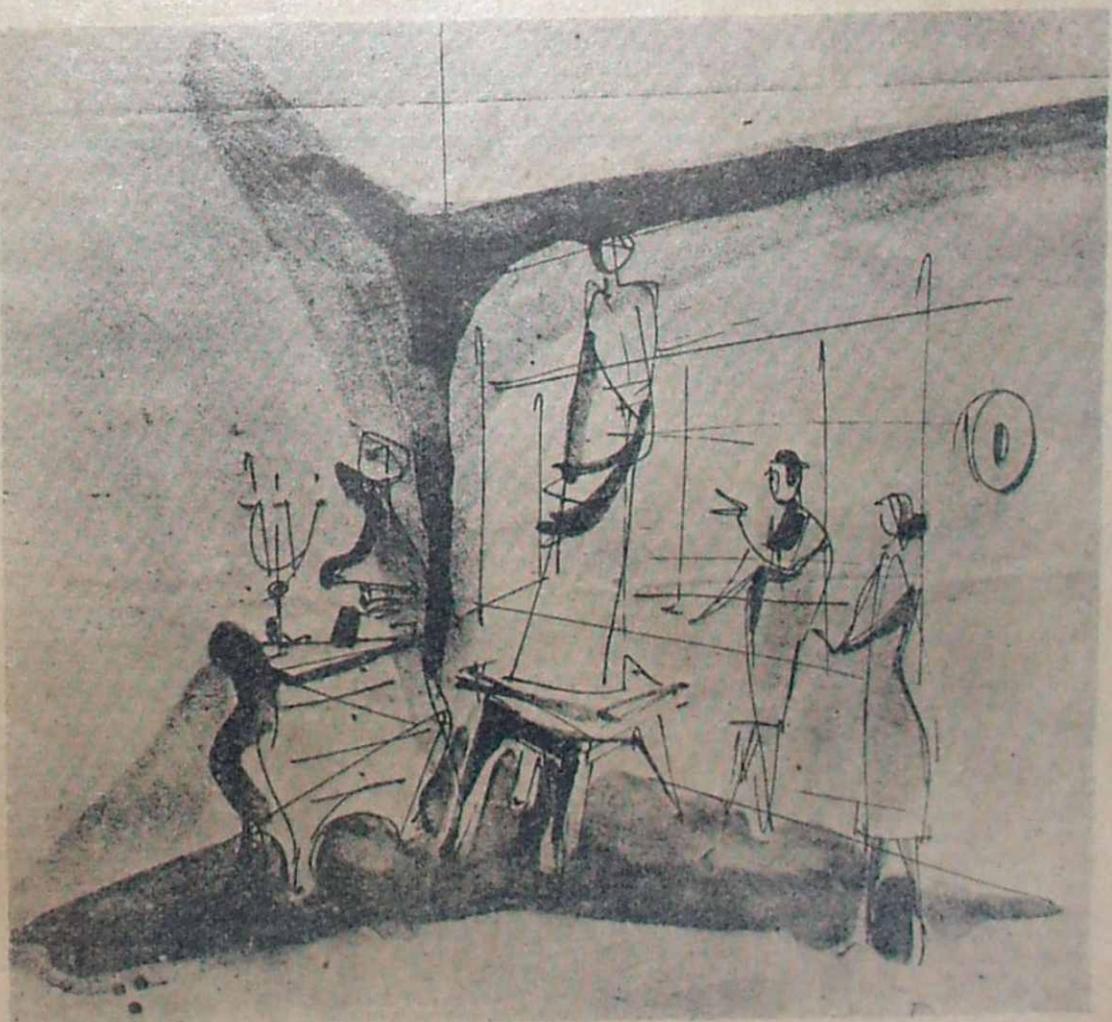
Zostałam wtedy na noc — małe pokoje na górze przeznaczone były dla gości, skromniejsze, ale jeszcze bardziej zaciszne.

W pracowni Hanny Nalkowskiej znajdowało się wiele jej rzeźb. Uśmiechała się siedząc na stolku „Helena” świetnie uchwyconym zażenowaniem wieśniaczki. Obok stała nieduża „Ewa”, patynowana na kość. Parę głów męskich, popiersie Montwiła, Łukaszyńskiego i dużo zaczętych prac — a w rogu monumentalna postać ryceza w zbroi. Ten, zdawałoby się, banalny temat — został tu rozwiązany odważnymi płaszczyznami. Była to rzeźba w piśmie. „Bojownik”, która dostała pierwszą nagrodę na ogólnym polskim konkursie, a później wykuta w kamieniu stanęła na grobie Wacława Nalkowskiego.

Wiotka i wysoka Hania Nalkowska chodziła wśród tych postaci w białym fartuchu, z dłońmi pełnymi miękkiej, żółtej gliny. Aż budziło zdumienie, że te duże rzeźby mogły powstać przez nią robione.

Wtedy na Górkach „Husia” potrafiła zaśmiewać się z byle czego. Najczęściej powodów dostarczał „stary egoista, bez żadnej ambicji” — jez. Chodził po pokoju, stukając głośno łapami i zatrzymywał się przed każdym, kto dawał mu jabłko. Interesowała go była gorzka — w całkowitej obojętności dla tego, kto mu przysmak daje.

W rogu jadalni, na drażku przytwierdzonym ukośnie między dwiema ścianami, siedziała Wunia, czyli sowa. Patrzyła uważnie, rzadko kiedy się odzywała, ale czasem, gdy się jej coś bardzo nie podobało, podnosiła głos. Była popielata, dość wysoka, puszysta jak kłębek puchu. Jadła mięso, sposobem papug przesuwając się



Portrety nieobiektywne

(Dokończenie ze str. 3)

wa-Długoszewski, rozlewny, przyjacielski dla wszelkiej braci artystycznej, miał w obojętnej ową lekceważącą pobłażliwość ludzi uprzywilejowanych.

Godziny obiadu wyplaszaly większość z kawiarni. I stolik na półpiętrze pustoszał, ale nikt nie śmiał zająć tego sanktuarium.

Zofia Nalkowska i ja wychodziliśmy również. Rozstawaliśmy się — ktoś z bliższych znajomych odprowadzał mnie do domu.

Zofia unosiła auto. Zofia coraz więcej przyjmowała u siebie ludzi, zwiększał się krąg znajomości — to nie była intymna zażyłość młodych lat, charakter spotkań był już oficjalny. Początkowo gromadziła u siebie towarzystwo na poobiednich herbatkach, oprócz tego robiła wieczorowe przyjęcia — rauty.

Jako ta, która okresami bywała u niej codziennie — tajemniczo została na wiele dni przedtem, jakie ma zamiary co do gości. Daleka już obecnie od wszelkiej cyganerii, Zofia ściśle trzymała się przyjętych form towarzyskich. Zebrania kolegów literatów i ich żon poszerzała z latami, zapraszała osoby z rządu, potem — przedstawicieli placówek dyplomatycznych obcych państw. Grono wciąż było uzupełniane atrakcyjnością nowo odnalezionego talentu. Adept przechodził szkołę długich, uczonych dialogów z Zofią. Gdy okazał się godny jej poparcia, zostawał przez nią wprowadzony oficjalnie na przyjęcia do jej salonu. Musiał wytrzymać próbę, kiedy wyszedł z niej zwycięsko, to zostawał włączony nawet do stałego grona przyjaciół autorki „Narcyzy”.

Warszawa po pierwszej wojnie okrzepła i lekko-myślnie rozrosła się bujnym życiem, nie mającym związku z rzeczywistością — często tragiczną.

Za przykładem ambasady, ministerstwa, nie mówiąc już o Zamku, mnożyły się salony prywatnych osób. Względny dobrobyt pozwalał na te skupiska ludzi, były one przydatne dla kariery, sławy, interesów, polityki. Nie potrzebowano u nas stosować takich norm jak za granicą, gdzie kluby ściśle wyznaczały hierarchię towarzyską, tak że konsul nie był przyjmowany jako gość w poselstwie. Tu działo się samo przez się, że ludzie dobierali się sferami.

Znałam przeważnie „salony” literatów i to lewicujących. Postępowcy — dawni i część nowych — znaleźli się w obozie rządowym, tam stosując swoją opozycję, według ostrości przekonań.

W salonach obozu zachowawczego ani Zofia, ani ja nie bywałyśmy. Znane były tam salony Władysława Rabskich, Ossendowskich, Miłaszewskich, Rodziewiczówny, nie mówiąc już o środowiskach politycznych opozycji z prawa.

W latach trzydziestych Zofia Nalkowska i wiele znajomych mi pisarek robiło stałe przyjęcia na dużą skalę: u Marii Kuncewiczowej, świetnej autorki, wyrafinowanej koneserki życia i słowa, zbierało się wielu malarzy, literatów i muzyków.

Na podwieczorku u Kazimierzy Ilakowiczówny — wyjątkowej swym urzekającym talentem i specyficznym zachowaniem — przeważała arystokracja. Liczono po wyjściu, ile tam było hrabin. Znakomita tłumaczka Conrada, ujmująca słodyczą charakteru, Aniela Zagórska, podobno powinowata ministra Augusta Zaleskiego, gościła u siebie wielu dyplomatów. Pani Paula Lamowa, żona Stanisława Lama, dawała miłe rauty

o zabarwieniu burżuazyjnym dla szerokiego kręgu, nie wyłączenie artystycznych.

Pamiętam taki jeden wieczór, gdy pewna sędziwa dama spytała o powagę „ministra” Karola Irzykowskiego, pono wyrocznie w krytyce, kogo ze współczesnych uważa za najlepszego pisarza?

— Gombrowicza i jego „Ferdydurke” — odrzekł.

Dama nigdy o takim nie słyszała, była pewna, że albo autorkę „De wajtisu” lub Piotra Chojnowskiego będzie krytyk miał na myśli. Powstała konsternacja pomiędzy gośćmi. Autora „Beniaminka” o mało nie zadziobano. Musiał umykać cichaczem.

U Rayskiej-Kuszelewskiej i Herminty Naglerowej przevažaly osoby z rządu i wojska.

Różne hrabiny nie pozwalały się zdystansować, podtrzymywały tradycje salonów swych prababek. Potockiej z Antonin, pani sędziwej, chodzącej o lasce, apartamenta prawie były niedostępne zwykłym śmiertelnym ludziom. Hrabina Maria Sobiańska z Guzowa, dama pobożna, wszystkim życzliwa, u staroświeckim salonie przyjmowała głównie cudzoziemców, rozmowa na jej five o'clock'ach toczyła się wyłącznie po francusku lub angielsku.

Królikarnia hr. Krasińskiej i jej syna Edwarda, który taką pieczę otaczał bibliotekę im. Krasińskich, skupiała towarzystwo uważnie selekcyjonowane. Mnóstwo krążyło anegdot o oszczędności tej pani. Nieprzeciętnie wysoka, zdumiewająco szczupła, zachowanie miała antynobistyczne, lecz pozwalające sobie na manifestowanie odchylenia od normy w sposobie bycia.

Na jednym z rautów u Zofii Nalkowskiej pani Anna, jej matka, która miała bawić którąś z rządu hrabinę, wywołała Zofię do drugiego pokoju — pełna oburzenia. Gniewała się, że córka sprowadza te „feudalki” wsteczne do ich domu i do tego każe jej zabawić je rozmową.

Przenikanie arystokracji do kół rządowych nastąpiło po wizycie marszałka Piłsudskiego w Nieświeżu. Następstwem tego było zejście pewnej części arystokratów do środowisk artystycznych, objęcie wielu stanowisk w Ministerstwie Spraw Zagranicznych czy w dyplomacji poza krajem.

Nagminne się też stało żenienie utytułowanych z artystkami scen i kabaretu. Krążył znany żart księcia Cz., że musi unieść jego żonę, która, „żeby mogła wyjść za mąż we własnej sferze”.

W domach wojskowych w Warszawie Zofia raczej nie bywała. Nielu tu też przyjmowała. Te sfery po śmierci marszałka Piłsudskiego dzieliły się na dwa obozy: trwających przy Zamku czy przy Rydzu-Smigłym.

Zofia Nalkowska nie uznawała też nocnych eskapad po modnych lokalach. Dyktatorze ówczesni usiłowali sztywnych zebrań, woleli Oazę i bridge’a. Bridge stał się przymusem towarzyskim. Grał wszyscy — wszędzie. U Zofii nie przyjęta była gra w karty. Bridge mógł mieć charakter wtajemniczenia, mógł przemycić jakąś tajną organizację. Obejmował wszystkie sfery, pozwalał na kontakty z najbardziej wpływowymi osobami. Zasiadano do niego w klubach, domach prywatnych, popisywano się kto z kim rozegrał partię. Kobiety też w tym uczestniczyły.

Zamożni literaci, z gustami bardziej konkretnymi, woleli bawić się w kółka paru osób. Nacisk kładziono tam na doskonałe trunki, obfite potrawy, dobór osób nie grzeszących pruderią.

Nalkowska często przyjmowała u siebie. Rauty w jej domu były dość stymne. Skupiały co wybitniejszych ludzi stolicy.

Do mieszkania Zofii przy ulicy Marszałkowskiej 4, na III piętrze, gdy urządziła wielkie przyjęcie, wchodzili wciąż nowi zaproszeni.

Wygląd pokoiów był odmienny. Połączono salon Zofii z pokojem jej matki, umeblowywano inaczej na duże przyjęcie. Jadalnia miała rozsunięty stół na całą długość. Układ potraw, ich kolory, tworzyły estetyczny desek, pobudzający apetyt.

Dwa gabinety z korytarza przy wejściu zamienione były na szatnię i pokój dla palących.

Pokojówkę zastępował obecnie Jan, lokaj wynajmowany na przyjęcia. Był on niezawodny, dyskretny, powierzyć mu było można całą administrację zamierzonego zebrania. Ogromnie chudy, z zapadłymi oczami, pracował cały dzień jako kelner w pierwszorzędnym zakładzie. Do Zofii stawał się z całą gotowością, wielbiąc ją jak wszyscy ci, których chciała ująć.

Potrawy sprowadzane były z restauracji i kosze wino dostarczane do domu. Nic zamętu. Zofia Nalkowska i tu celowała w umiejętności.

Jakże świetną byłaby żoną ówczesnego dyplomaty, spełniając funkcje ambasadorowej naszego kraju. Nie było wówczas przyjęte mianować kobietę ministrem na placówkach zagranicznych, co ją — szczęśliwie — ocaliło dla literatury.

Obyczajem pań z dyplomacji Zofia stała na środku pokoju i witała wchodzących gości. Zaplecze jej stanowił zwykle jakiś reprezentacyjny, rosyjski mężczyzna. Zmieniali się, gubili w czasie, Zofia Nalkowska trwała mocna, imponująca.

Nie anonosowano gości. Przeważnie znali się tu wszyscy. Efektownością odbijała od tła żona Wierzyńskiego, w kosztownym białym sortie, obok swego męża, Wielopolska Jehanne wkroczyła mając u boku dwóch smukłych braci Brezów, Ewa Szelburg-Zarembina, baśniowa i zwiewna, przeuciała się ze swym bladym mężem. Zadzierzysty, wyzywający — niby mały Napoleon literatury — kroczył Kaden-Bandrowski, władczy i dyktatorski. Skamandryci, i tu nierozdzielni, skupiali się ze sobą. Szmer witał nidką, skromną Marię Dąbrowską, pełną jednak bijącej od niej samowiedzy, wielkości. Nie wychodziła nikomu na przeciw w tamtych okresie uśmiechem czy pobłażliwością. Cofnięta od tłumy, siedziała na kanapie wśród dam. Trzeba ją było tam odnaleźć. Przed nią to rad kłękł ktoś z młodych, entuzjastowała się Aniela Zagórska i wielu rozmiłowanych czytelników.

Pogodny, życzliwy ludziom Leon Pomirowski, nie dotknięty nawet przecuciem swego tragicznego, późniejszego losu — zamordowania przez Gestapo — rozmawiał z paniami z MSZ. Hanna Nalkowska-Bickowa stała się ośrodkiem grupy rzeźbiarzy, oplądających zdjęcia z jej prac paryskich. Wschodni, śniady i leniwy minister Władysław Baranowski, gość z Bałkanów, emulował którąś ministrową, powracając wciąż do Zofii, pomocny w jej obowiązkach pani domu.

Świątkom podobny Leśmian, z piękną córką o rzęsach jak skrzydła, powołał grupę młodych poetów. Milczący Boy tkwił osowiały w którymś fotelu. Zwykle obecni byli na rauce oboje Treferowie, Meierowie. Trochę muzyków i plastyków. Dużo młodych, o mało znanych nazwiskach, literatów. Nigdy nie widzieli się tam Irzykowskiego, Berenta, Struga, nawet Lorentowicza. Za to wiele dam piszących.

Ministrowa Jadwiga B., w tloku, bez możliwości wydobycia się z kola adoratorów, kierowała się do wyjścia. Ubrana białą, pełną sztucznej biżuterii, dowcipnie i władczo odparowywała komplementa. Minister, w proporcjach żurnalowy, powściągliwy, niewiele osób ośmielał do rozmowy. Stał na uboczu. Także na uboczu trzymała się księżna Teresa Sapieżyna, ubrana popielato, zaskakująco skromnie; tylko jej sznur pereł czy brylanty może dorównywały fortunie tu wszystkich obecnych.

W tańcu przesuwali się fraki z uwieszonymi u boku jasno ubranymi kobietami. Kim-że są dziś? Wspomnieniem tragicznym.

Raut się przesilał. Nad ranem wygasł. Odchodziłam jedna z ostatnich. Zofia zostawała w przyćmionych światłach swego pokoju. Naprzeciw, w głębokim fotelu, siedział ten, któremu najtrudniej było się z nią rozstać.

Halina Maria Dąbrowska

(Dokończenie ze str. 1)

powinny wejść jednostki nie tylko kompetentne, ale także pełne energii, zapału i zmysłu organizacyjnego. Chyba nie będzie błędem, jeśli stwierdzimy, że właśnie skład tego komitetu jest sprawą bodaj najważniejszą. Ile to już imprez mogło zakończyć się fiaskiem, jeżeli o wyborze członków komitetu decydowało stanowisko człowieka, a nie jego przydatność. Mając na uwadze te właśnie doświadczenia warto ustrzec się podobnych błędów przy obecnej okazji.

Zastanówmy się teraz nad szczegółowymi propozycjami pod adresem Komitetu. Co można zrobić w Lublinie dla uczczenia pamięci wielkiego poety? Zgodnie z zapowiedzią — ograniczymy się tylko do trzech postulatów. Oto one:

Biorąc pod uwagę fakt istnienia w naszym mieście dwóch sekcji filologii polskiej, można spodziewać się zorganizowania sesji naukowych poświęconych Słowackiemu, którego twórczość bliższa jest lubelskim naukowcom i młodzieży akademickiej. Można także poprosić o odczyty historyków literatury z innych uniwersyteckich ośrodków. Kto wie, czy nie należałoby także pomyśleć o wydaniu książki zbiorowej poświęconej Słowackiemu, na którą złożyłyby się prace i artykuły lubelskich polonistów. Byłoby to chyba naprawdę godne uczczenie poety.

Postulaty te wydają się najbardziej oczywiste, jeśli chodzi o ich realizację — trzeba zasygnalizować, że Katedra

„IMIĘ MOJE tak przeszło jako błyskawica...”

Historii Literatury Polskiej UMCS przygotowuje już sesję naukową poświęconą autorowi „Beniowskiego”. Należy przypuszczać, że to dopiero początek imprez naukowych, w które powinien obfitować Rok Słowackiego w Lublinie.

Wskazane byłoby także zorganizowanie wystawy poświęconej Słowackiemu. W tym zakresie możliwości są duże. Latwo o zgromadzenie wielu wydań dzieł poety, zebraloby się także nieco fotokopii autografów, gorzej tylko przedstawialaby się sprawa rękopisów poety. Może jednak Muzeum im. Adama Mickiewicza w Warszawie czy inne instytucje posiadające w swych zbiorach autografy Słowackiego — zgodziłyby się na czas wystawy wypożyczyć jakies materiały. Nie nastężyłoby natomiast wielu trudności zebranie fotografii, szkiców i ilustracji do dzieł poety. Wdłużne pole do popisu miałyby tu także i szkoły. Czy nie można by pomyśleć o konkursie dla młodzieży na rysunki i ilustracje do dzieł Słowackiego? Najlepsze z tych prac, poza nagrodami, znalazłyby się oczywiście na wystawie. W ten dosyć oryginalny, ale przecież realny sposób, jeszcze bardziej zbliżyłoby się młodzież do twórczości Słowackiego, a jednocześnie podniosłoby atrakcyjność wystawy.

Osobne miejsce należy się Teatrowi Państwowemu im. Juliusza Osterwy. Ten bardzo zasłużony propagator dzieł Słowackiego na Lubelszczyźnie godnie chce uczcić jego rocznicę. Świadczy o tym fakt, że przygotowywane jest wystawienie inscenizacji „Zawiszy Czarnego”. Niezależnie od tego dobrze by było pokusić się o przypomnienie granych już wcześniej sztuk — oczywiście jeśli pozwolą teatrowi na to względy natury personalnej i technicznej. Warto przecież wznówić „Balladynę”, „Fantazego” czy też „Mazepę”, nie zapominając i o „Marii Stuart”. Należałoby także pamiętać i o potrzebach „terenu”. Niech więc chociaż jedną sztukę Słowackiego obejrzą mieszkańcy Zamościa, Puław, Kraśnika i innych miast, do których zawita lubelska scena objazdowa. Można także Słowackim zainteresować liczne amatorskie zespoły dramatyczne, dopingując je ewentualnie

zorganizowaniem konkursu na najlepsze przedstawienie sztuki autora „Balladyny”. Trzeba również pomyśleć o ufundowaniu nagrody dla aktora lubelskiego za najlepszą kreację w sztuce Słowackiego.

Podane przykłady stanowią tylko skromną część możliwości i perspektyw, jakie otwiera przed nami Rok Słowackiego. Nie można przecież zapominać także o odczytach, wieczorach poezji, udziałzie prasy, która w tym okresie poświęci z pewnością więcej miejsca poecie, jego utworom i pracom o nim. Nie mnożmy jednak przykładów i porzeczamy na już wymienionych. Chodzi nam przecież tylko o to, by wskazać szanse włączenia się Lublina do tej ogólnopolskiej imprezy kulturalnej w sposób twórczy, realny, w dodatku — bez większych subwencji (ta ostatnia kwestia nie jest bez znaczenia, bo — jak wiadomo — z kredytami zawsze jest ciężko).

Nie czekajmy na dyrektywy z Warszawy, na przykłady z innych miast. Stać nas z pewnością na to, by należeć do inicjatorów, a tymczasem jakże często wolimy być tylko naśladowcami i wykonawcami poleceń. Niechaj odpowiedzą na tych kilka propozycji będzie jak najszybsze powołanie do życia Komisji Obchodu Roku Słowackiego w Lublinie.

Nie bądźmy ostatnimi, skoro możemy być pierwszymi.

Roman Rosiak

PODOBÓJ GRAMATYKI

KORNEL CZUKOWSKI

Przekład

KAZIMIERZA ANDRZEJA
JAWORSKIEGO

Dokładnie przed 24 laty, w styczniowym numerze „Skamandra”, Franciszek Siedlecki, pisząc o radzieckiej literaturze dla dzieci i o dzieciach, zachwycał się książką Kornela Czukowskiego „Od dwóch do pięciu” (lat). Rzecz ta w dwunastym uzupełnionym wydaniu ukazała się w r. 1957 nakładem Państwowego Wydawnictwa Literatury Dziecięcej Ministerstwa Oświaty RSFSR. W numerze 2 „Świata” Wiktor Woroszyński zamieścił okruciny tej uroczej, jak słusznie pisze, książki we własnym przekładzie. Te „pasjonującą wędrowkę po niezwykłym świecie dziecięcego intelektu i fantazji” należałoby koniecznie przyswoić naszemu językowi, choć dla tłumacza to praca niełatwa. Interesujący rozdział o słowotwórstwie dzieci jest niezmiernie trudny do przełożenia i ma rację Woroszyński uważając, że właściwie w każdym kraju należałoby te rozważania oddać inaczej. Pokusiłem się o spolszczenie tego rozdziału w skrócie, opuszczając miejsca nie dające się przełożyć i modyfikując niektóre w zastosowaniu do języka polskiego.

Zadziwiająca są w mowie dziecięcej przedrostki czasowników. Wykazują, jak cudownie odczuwa dziecko znaczenie tych małych za, wy, u, na, roz, ob itd. Wypuść, rozpaczkować, napapierosić, zapompować — dziecko się tu nie omyli nigdy. Mając półtrzecia roku doskonale już operuje przedrostkami.

Kiedy Jurkowi B. nie podobało się, że matka przy kolacji posoliła mu jajko, zawołał: Wysłól z powrotem!

A inny chłopczyk, który długo ślecał nad jakąś robotką, oznajmił nagłe z triumfem:

— Trudziłem się, trudziłem i wytrudziłem stateczek.

Podobnych przykładów można by przytoczyć wiele:

— W żaden sposób nie mogę rozkąsić tego mięsa.

— Pamiętałem, pamiętałem, a potem odpamiętałem.

— Zaraziłem się i odraziłem (wyzdrowiąłem).

Ciekawa jest właściwość dziecięcych przedrostków: nigdy nie zrastają się z pniem. Dziecko odrywa je od pnia łatwiej i częściej niż dorośli. Mówi na przykład:

— Z początku bałem się tramwajów, ale potem zwycałem się, zwycałem i przyzwyczaiłem.

Jest przekonane, że skoro istnieje czasownik „przyzwyczać się”, to musi być i „zwycaić się”.

To samo z cząsteczkami, oznaczającymi przeczenie.

Małec na słowa: „Jaki z ciebie niedołęga!” odpowiada ojcu: „Nie, tatusiu, jestem dołęga, dołęga!” A na zarzut: „Jesteś nieukiem!” — replika: „No to będę ukiem!”

Miła Toistoj przed kłatką w berlińskim Zoo woła: „Ach, te małpy to takie dorajdy!”

W języku dorosłych do pni najczęściej dodaje się nie. Po raz pierwszy pomyślałem o tym, usłyszawszy taką rozmowę dzieci:

— Nie płacz, on cię uderzył niechęcący.

— Nie, chcący, chcący, wiem że chcący.

Istnieje cała kategoria wyrazów nie używanych bez przeczenia. Na przykład słowo „cny”. Bez zrosniętego z nim przeczenia w najnowszej literaturze już się dziś nie spotyka (obok „niecny” jest za to „zacny”), ale dawniej był w powszechnym użyciu:

„Naruszewicz w cnych przodków bogaty” (Zabawy przyjemne i pożyteczne), „Otwierają ci się wrota do cnej sławy” (Jabłonowski: Telemak).

Przed piętnastu laty podслуchałem taki dialog:

— Prześtań, nienawidzę cię.

— I ja też nie nawidzę cię zbytnio *

Joanka: „A w nocy to ty będziesz księżynikiem...”

Fot. Marek Jaworski



I to samo usłyszałem niedawno: — Mamo, nie nauczę się nawidzić kożuszka w mleku.

Słowem dzieci nie chcą znać tej nierozzerwalności pnia z przedrostkiem i spróbujcie przyletnie Jurkowi powiedzieć, że jest „niedojdą”, z oburzeniem odpowie: „A właśnie, że jestem dojdą!”

W ogóle każde „nie” oburza dzieci: — Ty mój nieboraczku! — Nie, boraczku!

„Cny”, „nawidzić” to seziwne wyrazy, które umarły już przed stu i więcej laty, i dziecko wskrzesza je tylko dlatego, że nie wie o ich nierozzerwalności z cząsteczką „nie” ustalonej w dawnej tradycji. Dziecko w ogóle nie uznaje żadnych wyjątków od ogólnych prawideł i jeśli te wyjątki odnoszą się do epoki późniejszej, to ignorując je tym samym przywraca wyrazom ich zapomniane znaczenie. Pamiętam okrzyk jednego czteroletniego wojownika:

— Zniewolitem Gawrusię, a on mi uciekł!

Zniewolitem — „wziąłem do niewoli”. Dziś — inne znaczenie.

Dzieci są bardzo wyculone na końcówki rodzajowe wyrazów. Tu często wnoszą poprawki do naszej mowy.

— Czemu jesteś taki beksa? — mówię do trzyletniego malca.

Ale ten, mając trzy lata już wie, że męskiemu rodzajowi nie przystoi końcówka a.

— Nie jestem beksa, ale beks.

Wiera Fonberg pisze z Noworosyjska o następującej rozmowie z czteroletnim synkiem:

— Mamusiu, baran to on?

— On.

— A owca — ona?

— Ona.

— A dlaczego papa to on? Powinno być pap, a nie papa.

Od czteroletniej Nataszy Zuchowickiej usłyszałem: „Pszenica to matka, a pszeno to jej dziecko”.

Później zbliżając się do lat siedmiu dzieci zaczynają ze zdziwieniem stwierdzać, że w gramatyce słowa należące do tej samej grupy znaczeniowej mogą być różnych rodzajów.

— Mamo, Moskwa to ona i Perna to ona, a Rostow to on i Smoleńsk to on!

Kiedy ojciec Aleksei Poleżajew powiedział do niej z wyrzutem: „Lala jest niuńka” — ta natychmiast utworzyła od tego rzeczownika rodzaj męski: „To tatuś jest niunieki! Tatuś — niunieki!”

Przymiotniki w mowie dzieci są stosunkowo rzadkie. Ale nawet w niewielkiej ich liczbie, którą udało mi się zebrać w ciągu dłuższego czasu, wyraziło się właściwe dzieciom wycucie językowe.

— *Ćorkata* mama. *Zooicy* dozorca. *Crozicielski* palec. *Jaki oknisty* dom! Nie chcę tej *torebki*, cała jest *dziurzysta*!

Czteroletnia Hala chwali się: „Mówią mi: włóż pończochy, a ja wkładam skarpetki! mówią mi: włóż skarpetki,

a ja wkładam pończochy. Jestem w ogóle naodwrotna.

Z utworzonych przez dzieci przymiotników najbardziej podobał mi się blyściutki (blyszczący i czyściutki jednocześnie). Blyściutki to wyraz syntetyczny. Przy sposobności zwrócić uwagę, że takie krzyżowanie dwóch różnych pni można dostrzec nie tylko wśród przymiotników. Na przykład: odmuchać (odpędzić muchy: od „machać”). — Gdzie jest twoja włosiatka? (siatka do włosów).

Niedawno opowiadano mi o małym Jurku, którego dorośli zameczali pytaniami: „Czyj ty jesteś”? Zrazu za każdym razem odpowiadał: „Mamin i papin”. Ale w końcu mu się to spryknęło i ukuł króciutką formułę: „Mapin”.

Blyściutki, odmuchać, włosiatka, mapin — takie wyrazy złożone tworzą nie tylko dzieci. Kiedy dwa podobne wyrazy ząbiamy wzajemnie tak, że w rezultacie powstanie nowy wyraz składający się z dwóch mniej więcej równych części, proces taki nazywamy kontaminacją. Za przykład takiej kontaminacji może posłużyć amerykańskie słowo „smog”, które niedawno powstało w Los Angeles. Wspomina o nim w swoich „Dziennikach amerykańskich” B. Polewoj: „Nad Los Angeles wisi smog”. To tak samo wyraz nowy, który przedtem nie istniał. Mieszkańcy Los Angeles wynaleźli go w ten sposób, że złożyli go z dwóch słów: smok — dym i fog — mgła.

Zaimków wskazujących dzieci używają nawet tam, gdzie ich nie ma. W dzieciństwie byłem np. przekonany, że „tapeta” to dwa wyrazy: ta peta. I mówiłem: „na tej pecie”, „pod tą petą”, „o tej pecie”. Potem przekonałem się, że podobny błąd popełnia wiele dzieci. Niektóre dzieci „poprawiają”: „ten boret”.

Najtrudniej małe dzieci dają sobie radę z kapryśnymi formami nieprawidłowych czasowników:

— Oni ją kapustę.

— Oni uiać o tym dawno.

— Ten człowiek jest umarty.

Chłopczyk, który spał ze mną w jednym pokoju, mówił po cichu do siebie:

— My spamy?

— Nie.

— My śpiemy?

— Nie.

I zasnął, zanim doszedł do formy: śpiemy. „Nie piłeś herbaty”? — „Piwnąłem tylko troszeczkę.”

Dla dziecka w ogóle plastyczne są nawet takie wyrazy, które według przekonania dorosłych nie mogą podlegać żadnym zmianom. Pewna przedszkolanka powiedziała o jednym ze swych wychowanków:

— Biedny chłopczyk, ledwo idzie!

— A ja to co? — pozardrościł tego współczućca drugi — ja mozę idę jeszcze ledwiej.

Powtarzam: słowotwórstwo dzieci jest całkowicie uwarunkowane stałością form gramatycznych, które powstały

od dawna w języku ojczystym. Dzięki wielokrotnym i jednostajnym wpływom mowy, słyszanej przez dziecko od rana do wieczora od wszystkich, którzy je otaczają, w umyśle jego powstają odpowiednie uogólnienia gramatyczne; samo nie zdając sobie z tego sprawy bardzo umiejętnie i subtelnie stosuje je przy każdej nadarzącej się sposobności. Weźmy na przykład przytoczony wyraz piwną. Oczywiście dziecko nie wymyśliło tego wyrazu; przyrostek na oznaczający momentalność, jednorrotność, skończoność czynności podsunęli dziecku dorośli, od których niewątpliwie słyszało: „kichnął”, „potknął”, „kaszlnął”, „krzyknął”, „stuknął” itd. Ale ta okoliczność, że doskonale zrozumiało złożoną ekspresję tego przyrostka i tak umiejętnie zastosowało swoje uogólnienie do jednego z tych wyrazów, którym ten przyrostek nie jest właściwy, świadczy o jego samodzielnej, konstruktywnej pracy**).

** Melchior Waśkiewicz w „Zielu na kraterze” przytacza „cełny neologizm” swej córce: „siadka” (ta część ciała ludzkiego, na której się siedzi) utworzony za pomocą przyrostka ka w połączeniu z pniem czasownikowym na wzór takich wyrazów, jak dójka (od: doić), pisanka, czytanka itd. (przyp. tłum.).

KULTURA Z NAGONKĄ

W biurze kierownika klubu przy jednym z największych obiektów przemysłowych Lubelszczyzny panował nastrój nerwowego podniecenia, nieomal jak w sztabie generalnym przed decydującą bitwą. Kierownik głośnie zemocjonowanym instruiował podległego sobie „kociaka” od kultury, który coraz to wpadał do pokoiku z meldunkiem: Przychodzą? nie przychodzą?... jest troje? jest już pięcioro? mówiła im pani, że to potrwa krótko i że przedtem film i potem film? A klucz pani ma? w razie czego zamknąć drzwi i wpuszczać tylko wchodzących... Jest już piętnaście osób? prelegent także gotów, no to za chwilę zaczynamy... Rozumiecie — zwrócił się do wyż. wspomnianego prelegenta — wszelkie odczyty, prelekcje, spotkania autorskie i wieczory literackie to rzecz niepopularna, bardzo niepopularna. Więc najpierw dajemy jeden atrakcyjny film, potem prelekcja — tylko prosimy — jak najkrócej — a potem znowu jakiś film, najlepiej kowbojski i z pyskobiem. A zresztą nawet do filmów nie bardzo się kwapią, choć to przecież za darmo i na miejscu. Mamy w naszym hotelu przeważnie młodzież, większość niedawno ze wsi, zewnętrznie przystosowali się do nowych warunków, ale tylko zewnętrznie. Mało co ich interesuje. Jedyna rozrywka naprawdę popularna to „potarćówka”, no i karty. A i to wola grać u siebie w pokoju, ze dwunastu w jednej kłitce, ciasno, dym, że siekierę zawieszysz, mimo że w klubie postawiliśmy stoliki i nie bronimy grać. Czy coś czytają? Wyjątkowo, i wyłącznie książki rozrywkowe, głównie kryminały...

Tu przypominała mi się rozmowa z pewnym studentem I roku jednej z lubelskich wyższych uczelni. Na uczelnianym student przyjechał z daleka (nie on jeden), pozostawiając w wiosce, odległej o paręset kilometrów, niezbyt zamożnych rodziców, dla których był dotychczas po powrocie ze szkoły wydatną pomocą w polu i w domu. Chłopak robi wrażenie dodatnie, rozgarnięty, wie czego chce, ale... szkołę, z której wyszedł, ocenia krytycznie, chciał zdawać na inny wydział, ale tam trzeba dobrze umieć chemię, a u nich nauczyciel był słaby, nie wiele nauczył. O innych przedmiotach nie wspomina; do myślenia daje fakt, że słów obcego pochodzenia używa chętnie, ale nie zawsze z sensem. W Lublinie po kilku miesiącach pobytu poza współlokatorami z „akademika” nie ma żadnych kontaktów towarzyskich, czasu zresztą także niewiele. Ale jednak wolne chwile zawsze się znajduje, co wówczas robi? Wzrusza ramionami: Bo ja wiem, jakoś czas leci. Kino? Nie, nie był jeszcze ani razu, bilety drogie i w ogóle... W teatrze też nie był, nie na ten temat nie ma do powiedzenia. Książki? A, owszem, czyta

(Dokończenie na str. 7)

* Ale w staropolskim: „Dobrego gospodarza każdy nawidzi, chwali”. (Ks. Krzysztof Kiuk: „Roślin potrzebnych utrzymaniu” 1777). Sienkiewicz archaizując w „Krzyżakach” używa czasownika „nawidzić”.

Ostatnie promienie jesiennego słońca rzucają swe bliski na niezwykle pomnik na cmentarzu wojskowym na Powązkach w Warszawie:

Kajetan Sawczuk pieśniarz ludowy

Pieśniarz ludowy? I nie na małym wiejskim cmentarzu pod brzozą lub wierzbą, nie w rodzinnej wsi?... Czytam napis dalej:

ur. w Komarnie na Podlasiu w r. 1892
zm. w Warszawie w lutym r. 1917

Biedaku, miałeś więc zaledwie 25 lat! To przecież wiek, gdy w życiu wszystko woła o szczęście, radość i miłość. Gdy człowiek zaczyna dopiero zdobywać miejsce w społeczeństwie, a jednak wtedy, przy odsłonięciu pomnika, gdy Twoi przyjaciele, powróciwszy z wojny przyszli pożegnać się z Tobą, stał tutaj tłum, w którym nie brakło nawet intelektualistów, posłów, senatorów, wojskowych z najwyższymi odznaczeniami za dzielność.

I wreszcie u stóp pomnika cytali:

I dotąd lud polski nie wierzy,
Ze on w tej ziemi solą jest,
Ze w duszach tyle mocy leży,
Ze nań wolności spłynie chrzest...

Czy pisząc ten mocarny i płomienny wiersz, czyś myślał, że piszesz sam sobie epitaphium?

Podlaska ziemio, skarbie mój jedyny!...

Tak złożyło się, że najpierw poznałam ten wiersz poety, a później opiewane w nim rodzinne strony, wieś Komarno, położoną niedaleko Białej Podlaskiej. Stojąc na wzgórzu i rozglądam się wkoło, szukając tego, co on kochał:

Na każdym wzgórzu, nad każdą drożyną
Co noc widziałem błędzące postacie...

Ten las, który go nieraz chronił, gdy carskie władze wysłały listy gończe, a to znów pole jego ojca:

Pomnę, gdy w pole za ojcem chodziłem,
Liczyłem jego znojne trudem kroki
I pot kroplisty na czole liczyłem
I wichrem gnane na niebie obłoki,
Koniki polne na przelaj gonilem...
Ach, czym był wtedy dla mnie świat szeroki?

Odwracam głowę w przeciwną stronę, gdzie wśród pól rosną drzewa na miedzach:

O, jak mi tęskno za wielką rozkoszą,
Cieniem grusz polnych, co na miedzach stoją.

Nie mogę sama odszukać jego rodzinnego domu, bo nie stoi przy nim wiatrak, spalony w czasie wojny, nie ma już „starej ławy u wiejskiego płota”, sad wycięto i założono nowy. Dopiero jego krewni wskazują mi jego rodzinną chatę i zapraszają serdecznie do wnętrza.

Ja wciąż spoglądam na rodzinne wrota,
Gdzie wieczny spokój, wieczna dusz prostota.
Chato ty moja, cichych snów kolebo,
Jakże mi tęskno za tobą boleśnie...

Pokazują mi wreszcie jego pokój. Tu urodził się, spędził całe dzieciństwo i pierwszą młodość, tu uczył się sam z nadludzką wytrwałością i dyscypliną, by mieć namiastkę polskiej szkoły. Krewni wyczuwają, że chce zostać sama i zamykają ciicho drzwi. Trzymam w rękach wszystkie pamiątki, jakie znalazłam u jego bliskich, jego własnoręcznie pisane listy, on sam patrzy na mnie z wyblakłych i pozółkłych fotografii.

Czego tu szukam? Przede wszystkim jego zaginionych, a nie drukowanych nigdzie utworów. Najlepszych, pisanych w ciągu ostatnich pięciu lat życia poety, tego „kufra rękopisów”, który został po nim, jak stwierdzają wszyscy jego krewni. Siostrzenica poety, pani Czesława Łepecka, czytała jako dziecko już po śmierci Kajetana 8 grubych brulionów jego wierszy, niezwykle pięknych, jak mówi. Jedyna już żyjąca jego siostra, Bronisława Sawczuk-Szablinska, mówiła mi, że rozpacza rodziny po śmierci poety przechodziła wszelkie wyobrażenia, rodzice po prostu nie mogli patrzeć na rzeczy należące do niego. Czyżby zniszczyli sami to, co było treścią jego życia? Pani Szablinska opuściła wcześniej dom rodzinny i nie może mi dać stanowczej odpowiedzi. Ostatnia nadzieja, to jedyny brat poety, Bolesław, mieszkający na Mazurach, którego adres otrzymałam, oraz dalsza rodzina w Warszawie. Niezrozumiałe jest dla mnie stanowisko grona jego przyjaciół z postanką Ireną Kosmowską na czele. Przecież poeta zawdzięczał im dosłownie wszystko: otaczali go najtroskliwszą opieką w chorobie, wydali w niezwykle trudnych warunkach dwukrotnie jego prace drukiem, pamiętali nawet o pięknym pomniku na grobie. Czy nie przyszło im na myśl, że w domu rodzinnym poety zostało jeszcze bardzo wiele utworów niepublikowanych nigdzie? Dlaczego wydając pośmiertnie utwory poety w 1924 r. oparli się głównie na pierwszym wydaniu z r. 1912? Trzecie wydanie z 1957 r. w ramach Biblioteki Dawnych Pisarzy Chłopskich — to znów powtórzenie.

„Kurier Warszawski” z dn. 6.XII.1912 r. donosił: „Irena Kosmowska, chcąc umożliwić wyjazd na kurację Kajetanowi Sawczukowi, właścicielni-poezie, samoukowi, zebrała jego pieśni i wydała w oddzielnym tomie”.

Władze carskie dopatrzyły się tu niebezpieczeństwa politycznego, skonfiskowały nakład i wytoczyły I. Kosmowskiej proces, skazując ją na rok twierdzy, od czego uratowała ją kuracja, a niedługo potem amnestia. Za poeta, który był już szczęśliwie w Zakopanem, rozesłano listy gończe.

Przedmowa do dzieła, którego egzemplarze są unikatami, zasługuje na szczególną uwagę:

Młody pieśniarz włoskowy Kajetan Sawczuk, ur. we wsi Komarno ziemii Podlaskiej, pisać i czytać nauczył się w domu. Pragnienie nauki zagnało go na kursa rolnicze do Sokółki. Po powrocie z Sokółki pracował w domu, nosząc swą duszę śpiewną po oczyszczonych łąkach. Niespodziewanie powaliła go choroba piersiowa, z której powoli dźwiga się.

Tęsknota za pięknem i dobrem, marzenie o zwycięstwie prawdy i sprawiedliwości, pożądanie wiedzy, obok pragnienia ofiarnego czynu... Oto treść młodzieńczej duszy syna ludu, umięjęcego zakląć w pieśni myśli swoje i uczucia”.

St. Żeromski

Zakopane, 20.II.12 r.

W 1917 r. tygodnik „Świat” podał wiadomość, że w najbliższej przyszłości (na którą niestety trzeba było czekać do 1924 r.) ukaże się obszerny tom wierszy Kajetana Sawczuka z przedmową Stefana Żeromskiego. Niestety wielki pisarz, stojący już wówczas nad grobem, przedmowy z niewyjaśnionych powodów nie napisał, a zapowiadane „obszerne dzieło” liczy zaledwie 104 strony druku i zostało wydane prywatnym nakładem w ubożuchnej szacie.

KLASYK ludowej POEZJI

MARIA GINALSKA

W tomiku tym na str. 68 znajduje się wiersz zasługujący na szczególną uwagę. Tytuł „W obronie Urody życia” nie wymaga komentarzy. Z obszernego wiersza cytuję zakończenie:

Za to, że głos twój boleć targany
Nie da nam wszystkim zmarłaś w tej głuszy —
Chcę cię ośmieszyć. O, jakże mała!
Czyżby się cienia własnego bała?
Sam w sobie mistrzu jesteś uznaniem
Wielkiej potęgę polskiego ducha,
Pieśń twa nam śpiewa cudownym granicem,
A dusza słucha, słucha i słucha.
I myśl owiana boskością czasem
Twych bohaterów nieskazitelnych
Bije płomiem gromowych żarem,
Do czynów wyzwa nas nieśmiertelnych.
W nitwy osnuje wieczną żałobę
Rzuć wielkich pragnień stew, złam twardość lodów.
Cierniową drogą cierpień i zawodów
Nieś sztandar Polski... My pójdziem z Tobą”.

Co wiadomo o osobistych kontaktach Kajetana Sawczuka z Żeromskim?

Od 62-letniej siostry poety otrzymałam odpowiedź, że Kajetan Sawczuk znał się osobiście z Żeromskim i mówił o nim z entuzjazmem. Z Aleksandrem Świętochowskim, który nawet był wykładowcą poety na kursie w Sokółce, rzecz miała się zgola inaczej. Kajetan po swojemu zareagował wierszem, który jego siostra zawierzyła swej pamięci, a ta ostatnio zawiodła...

Zyciorys poety zawiera wiele białych plam, gorzej nawet, wiele zupełnie błędnych informacji. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat pojawiły się w prasie głosy ludzi pragnących ocenić pamięć młodego poety od zapomnienia. Były to jednak często wiadomości niepewne, jak np. te, które dotyczyły kontaktów podlaskiego poety z Ireną Kosmowską. Jej zawdzięczał bardzo dużo.

Późniejsza postanka na Sejm grupy „Wyzwolenie” i wybitna działaczka Irena Kosmowska była postacią naprawdę niezwykłą. Prześladowana przez carat i sanację, miała charakter nieugięty, stalowo silną wolę. Przy tym była idealnie dobra, ofiarna i oddana dla przyjaciół i towarzyszy walki. Będąc sama osobą o bardzo szerokich horyzontach myślowych, potrafiła poznać i ocenić w pełni talent. Potrafiła — co ważniejsze — pomóc, a nawet poświęcić się bezinteresownie.

Już w lutym 1912 r. St. Żeromski stwierdza, że poeta jest dość dawno chory na płuca. Wiemy też, że I. Kosmowska wydała tom jego wierszy w tym samym roku na pokrycie kosztów jego kuracji w Zakopanem, którą poprzedziło leczenie tej samej choroby w Otwocku.

Okolo 1910 r. wybuchł we wsi Komarno pożar w domostwie J. Doroszczyka, sąsiada rodziców poety. Rodzinny dom Kajetana był w największym niebezpieczeństwie i największą ofiarnością w ratowaniu wykazał właśnie on sam. Potężną budowy i herkulejskiej siły wtedy po prostu przechrzątał sam siebie: w czasie szalejącego wichru i ulew, to pracował w gorącu, to znów na dachu domu okrywał mokrymi płachtami strzechę. Wielokrotnie obłano go lodowatą zimną wodą, aż wreszcie ubranie samo wyschło na rozgrzanym cieple. Długo, bardzo długo trwało, zanim położył się do łóżka, z którego wstał dopiero po chorobie. Ale nie mógł jakoś wrócić do sił i nie rozumiał dziwnych objawów u siebie. W 1912 r., jesienią,

wskutek nieuważni Kajetana ubranie jego dostało się w tryby młocarni i tylko gwałtownym szarpnięciem uchronił rękę od zmiżdżenia.

W kilka godzin po szczęśliwym wyrwaniu ręki z trybów maszyny nastąpił pierwszy, straszny krwotok z płuc. Ojciec przewiózł chorego natychmiast do Otwocka, skąd po pewnym czasie poeta wyjechał do Zakopanego. Choroba została zaleczona zupełnie i zapewne wszystko byłoby dobrze, gdyby nie tragiczne wydarzenia w czasie wojny.

Już na kilka lat przed wojną, współpracując z redakcją „Zarania”, został wciągnięty do politycznej pracy podziemnej. Jego płomienna patriotyczna twórczość narażała go wobec władz carskich, a także jego przyjaciół.

Nieraz cierpił głód i chłód ukrywając się lub przeprawiając kilkakrotnie z Podlasia do Warszawy. Pracuje w tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej, przeprawia ochotników do legionów, współpracuje w pismach konspiracyjnych, pisze płomienne zagrzewające do walki wiersze.

Stłumiona choroba powraca dając o sobie znać krwotokami, a tu nie ma w ogóle warunków na racjonalne leczenie i wreszcie wyczerpanego krwotokami przywożą Kajetana Sawczuka do szpitala w Warszawie, gdzie następuje kres.

Jak osądzili jego twórczość wybitni krytycy? Oto głosy niektórych:

Dr Karol Koniński: „Na tle samorodnej literatury ludowej postać poety z Podlasia zajmuje pozycję specjalną, wyróżniającą się nie tylko dlatego, że w jego utworach poezja ludowa osiągnęła swój szczyt najwyższy”.

Stanisław Czernik: „Kajetan Sawczuk, przedwcześnie zmarły poeta ludowy, należy do klasyków chłopkiego pisarstwa. Najbardziej „literacki” spośród tak zwanych samorodnych pisarzy. Tyrteusz polskich chłopów”.

Tomasz Nocznicki: „Młodym był, dla młodych pisał, młodych do życia budził”. Gdyby był żył i miał czas się uczyć, byłby się stał być może jednym z poetów narodu”.

Adam Fiszer: „Mała księżczyzna, ledwie kart kilkanaście, a jednak jaka z nich bije siła, jaka moc przekonywająca. Czuję tu już niemal, że po długim uśpieniu budzi się dusza ludu polskiego, że świadomość narodu z dniem każdym zapuszcza coraz głębsze korzenie, że dokonywa się rzeczywiste zasadnicze, wewnętrzne przemiana. Pieśń jego działa zaś tym mocniej, że zakuta jest w zupełnie prostą, niewyszukaną formę”.

Kazimierz Czachowski: „Okazał się talentem na ogół samodzielnym i niezależnym, przy dobrym poczuciu odrębnego artysty ludowego, łączącym wdziałek najwięcej prostoty ze szczerym wzruszeniem lirycznym, sugestywną rytmiką prymitywu i mocnymi akcentami ideologii społecznej”.

Stanisław Pigoń: „W środowisku swym i miejscowym podlaskim klimacie duchowym jest on zjawiskiem dziwnym, niespodziewanym. Coś tak, jakby na naszym rodzimym gruncie wyrosła samorzutnie wiołka palma. Cała prawie reszta poetów ludowych ukształciła się i ujawniła w talentach na gruncie zaboru austriackiego, gdzie począwszy od połowy wieku ubiegłego lud był pobudzany w rozwoju swym przez podjęty społeczno-polityczny, gdzie się krzewiło czytelnictwo i gdzie chłop poeta miał dla kogo pisać i mógł się spodziewać, że wywoła jakiś odzew. Sawczuk, wyrosł w zaborze rosyjskim, gdzie o jakimś udziale chłopu w życiu politycznym nie było mowy, gdzie kaganek oświaty nikłym pełgał plomylem, chowany w zapadłym kącie podlaskim, jest jakimś niepojętym dziwem samoródtwa poetyckiego.

Jako indywidualność poetycka jest Sawczuk lirycznym pasjonowanym, ekstatycznym... pełnym nieukożnego cierpienia, buntu, wzlotów niepojętych, niezgody z rzeczywistością. Odbija wyraźnie od całej reszty poezji chłopkiej”.

W rodzinnych stronach poety zetknęłam się z dyr. Jerzym Sroką i kierownikiem szkoły w Komarnie p. Filipiukiem, którzy okazali mi najdalej idącą pomoc. Nasza wzajemna sympatia dla poety sprawiła, że postanowiliśmy zawiązać „triumwirat” i postępować dalej kolektywnie. Bezpośrednim bodźcem dla nas był bezsporny fakt, że bezpowrotnie zginęło wiele pamiątek po Kajetanie i przy życiu pozostała już bardzo nieliczna grupa jego bliskich, mogących udzielić wiarygodnych informacji. Życie i twórczość poety są godne tego, by stały się tematem wyczerpującej pracy naukowej. Może nasz skromny dorobek pomoże komuś choć trochę.

W okresie międzywojennym postawiono w rodzinnej miejscowości poety pamiątkową tablicę ku jego czci i nazwano piękną lipową aleją jego imieniem. Obecnie nie pozostało z tego nic, ani nic nowego nie zrobiono. Bardzo przykro o tym pisać, tym bardziej, że Sawczuk był przecież skrajnym chłopkiem lewicowcem. Rodzinna Lubelszczyzna od początku była dla niego, niestety, obojętna, choć tak bardzo ją kochał.

Kierownik szkoły już dawno pragnie, by w Komarnie stanął pomnik poety, by szkoła nosiła jego imię, by przywrócić to, co było dawniej. Trzeba jednak na to pieniędzy, zezwolenia, dużych starań, przekraczających siły jednego człowieka. Gdy zrobił ankietę wśród uczniów na temat Kajetana Sawczuka, wynik był negatywny, bo skąd młode pokolenie ma go znać? Postanowiliśmy więc urządzić w rodzinnej miejscowości poety, 10 lutego, w rocznicę śmierci, wieczór poświęcony jego pamięci.

Postanowiliśmy w trójkę, że na ów dzień zostaną zaproszeni wszyscy krewni poety, że ich informacje zostaną spisane. Zebrane przeze mnie pamiątki mają stać się zaczątkiem miniaturowego muzeum w szkole jego imienia. Zwrócimy się też do Wydziału Kultury PWRN w Lublinie z prośbą o pomoc finansową. Czy nasze wysiłki nie rozbiją się o mur obojętności i niechęci, pokaże najbliższa przyszłość.

Kultura z nagonką

(Dokończenie ze str. 5)

czasem, Kraszewski, Sienkiewicz, no i oczywiście — tu uśmiecha się szeroko — kryminalne. O tygodniki już nie pytam. Jak wiadomo, w kiosku przy blokach akademickich, „Przegląd Kulturalny” ma tygodniowo jakichś dwu nabywców, a nie nie wskazuje, aby mój rozmówca był akuratnie jednym z nich. Należy najwidoczniej do tej masy studenckiej, na którą przy dyskusjach i obrachunkach środowiskowych sypią się gromy za bierność i obojętność w sprawach kultury. Za kilka lat najzdolniejsi i najpracowitsi wyjdą z uczelni jako fachowcy, niekiedy nawet bardzo dobrzy fachowcy i powiększą szeregi nowej inteligencji, o której nieskrystalizowanym obliczu pisał niedawno w „Przeglądzie Kulturalnym” prof. Szczepański. Znam takiego docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, — skądinąd bardzo zdolnego, który nie wie (to nie żadna podejrzana anegdota agencji jpp, to fakt, za którego prawdziwość ręczę!) nie tylko kim jest Jerzy Putrament — to by mu ostatecznie można darować! — ale nie wie też, kto to Maria Dąbrowska i nie słyszał nawet o jej „Nocach i dniach”...

Te i tym podobne sytuacje i fakty nachodzą mnie uparcie, gdy słucham górnych i chmurnych dyskusji na temat sytuacji kulturalnej w naszym kraju.

Ilu jest w Polsce ludzi, którzy nigdy nie czytają książek, nie chodzą do teatru, do kina, na koncerty, na wystawy, nie słuchają nawet radia (pilni słuchacze programu niedzielnego Warszawy i zrozumiemy to „nawet”)? Jaki jest ich stosunek ilościowy do ludzi, dla których korzystanie z dóbr kulturalnych nie jest snobistyczną manierą, ale głęboką potrzebą wewnętrzną, nieomal równie dojmującą jak fizyczny głód i pragnienie?

Danych takich nie posiadamy, a bez nich rozmowy o kulturze, o tworzeniu kultury, o mecenacie kulturalnym, o upowszechnieniu — toczą się w jakiejś pustce. Częstkowe, fragmentaryczne dane, jakie bywają publikowane tu i ówdzie, bezpośrednie kontakty z białymi plamami na mapie kulturalnej — każą przeczuwać obraz dość ponury. Nie będzie chyba czarnowidztwem stwierdzenie, że kultura nie jest jeszcze dla ogółu Polaków chlebem codziennym, że nie jest artykułem powszechnego zapotrzebowania. A czyż właśnie sprawa owego zapotrzebowania nie jest bodaj najistotniejszym problemem nie tylko upowszechnienia wartości kulturalnych, ale także ich tworzenia? Roślina, by kwitła i owocowała, musi mieć odpowiednią glebę, deszcz i słońce. Kultura, by kwitła i wydawała owoce — musi mieć odpowiednie warunki materialne i klimat moralny. Ale czy jest możliwe stworzenie takich warunków i takiego klimatu w społeczeństwie, którego znaczna część, jeśli nie znaczna większość — kultury nie zna, nie rozumie, nie potrzebuje? Historia mówi, że wielkie epoki kultury to były epoki, gdy kultura stawała się sprawą społeczną, sprawą większości społeczeństwa — lub przynajmniej jakiejś jego istotnej, ważkiej części. Tak było w

starożytnych Atenach, w renesansowych Włoszech, w Holandii Rembrandta, niejednokrotnie na przestrzeni dziejów we Francji.

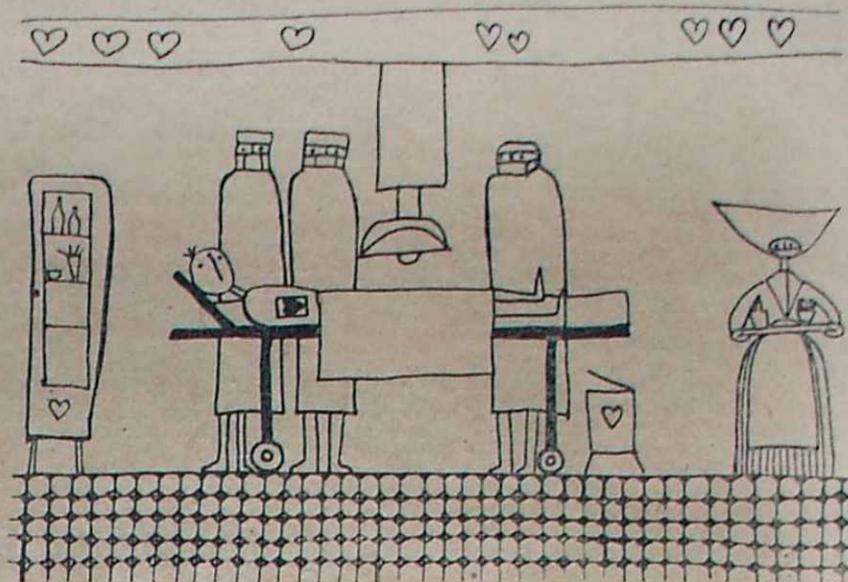
Dlatego wydaje się, że i dziś w Polsce, sprawa naszej kultury, jej bytu, jej godności, jej wielkości, odpowiedzialnego dla niej klimatu — rozstrzyga się nie tyle w pracowniach twórczych, na zjazdach i na międzynarodowych festiwalach — ile w wiejskiej szkole, bibliotece i w kinie objazdowym. Tam, gdzie rodzi się — albo się nie rodzi — potrzeba i nawyk kultury, tam, gdzie wyrośnie — albo nie wyrośnie — jej przyszły zbiorowy odbiorca i mecenas.

AMA

Nasz ekran

OSTATNI AKT

OSTATNIE dni Hitlera i jego sztabu mogłyby posłużyć za punkt wyjścia dla filmów bardzo rozmaitej kategorii; na korzyść twórców „Ostatniego aktu” zapisać wypada, że spośród nasuwających się możliwości wybrał jedną z ambitniejszych i trudniejszych. Nie poszli na łatwiznę, jaką byłoby ukazanie krwawej i sensacyjnej anegdoty biograficznej; nie ulegli też ponętnej pokusie psychologizowania na temat „zbrodniarza w pulawce”. Podjęte tworzenie stało się dla nich okazją dla dokonania rozrachunku z hitleryzmem, dla wypowiedzenia memento pod adresem jego ewentualnych kontynuatorów czy naśladowców. Film Pabsta i Remarque’a zrealizowany został co prawda w Austrii, ale przeznaczony jest niewątpliwie przede wszystkim dla publiczności niemieckiej. Wydaje się też, że sprawa taktu i taktyki zaważyła dosyć decydująco na postawieniu i rozwiązaniu problemu, przy czym powiadamy od razu, że rozwiązano go dla widza polskiego i w ogóle poza niemieckie nie jest zadowolające. Sprawa hitleryzmu ujęta została w „Ostatnim akcie” prawie wyłącznie jako wewnętrzna sprawa między Hitlerem a Niemcami, rachunek krzywd wystawiony jest hitleryzmowi ze stanowiska narodu niemieckiego. Poza krótką rozmową, w której Himmler podaje liczbę więźniów w obozach koncentracyjnych (oszacowaną zresztą bardzo nisko), nie znajdujemy w „Ostatnim akcie” żadnych danych mówiących czy choćby stanowiących aluzję do ogromu zbrodni hitlerowskich wobec innych narodów Europy i świata. Akcent położony jest prawie wyłącznie na straty, jakie ponieśli z winy hitleryzmu sami Niemcy, przy czym — rzecz znamienita — uwypuklono głównie straty o charakterze biologicznym, przemilczając wyrządzone przez hitleryzm spustoszenia moralne. Mowa jest o ginących masowo żołnierzach, o udrepczonej wojną ludności cywilnej, o wysyłanych na front dzieciach; symbolem stosunku Hitlera do społeczeństwa staje się scena zalania schronów. Hitler, opanowany histerycznym strachem, by odwieść o kilka czy kilkanaście godzin przybycie Rosjan i własny koniec — każe zatopić korytarze kolej podziemnej, służące za azyl ludności i rannym. Film przeciwstawia Hitlera prawie całej reszcie społeczeństwa niemieckiego. W interpretacji filmu przeciw Hitlerowi są generalowie, przeciw Hitlerowi jest „Wehrmacht”, uosobiona w postaci „pozytywnego bohatera”, kapitana Wüsta, przeciw Hitlerowi jest ludność cywilna, która w schronie solidarnie występuje przeciw szpiełowi, jednemu zdeklarowanemu zwolennikowi hitleryzmu. Przy takim obrazie rzeczywistości niemieckiej staje się rzeczą niepojętą, na czym opierała się do ostatnich chwil władza Führera, który ukazany jest — bardzo zresztą przekonująco i prawdopodobnie — jako człowiek mały i nędzny, złośliwy histeryk i nieinteligentny maniak. W filmie nie ma tego zasadniczego czynnika, jakim był system przemocy, zakłamania, gwałtu i strachu wszystkich przed wszystkimi, system, wciągający w mniejszym lub większym stopniu prawie całe społeczeństwo do udziału w zbrodniach hitlerowskich. A przecież w warunkach egzystencji bunkrowej



Serce

WŁODZIMIERZ
CHEŁMIŃSKI

Działo się w roku 1960.

Jan po powrocie z biura i spożyciu krupniczku, którego nie znośił, oraz potrawki z trzydniowego cielaka, przagnął zazwyczaj ułożyć się na poobiednią drzemkę. Ledwo jednak spoczął i zamknął oczy na to wszystko, czego nie chciał widzieć, rozlegał się głos magnifiki:

— Janie, przyniesiesz pieczywa, ale tego chrupiącego... i cięciwiny bez kości (uważaj co ci dają!), i jeszcze mierzki dwa metry, tylko żeby była dokładnie taka jak ta próbka. — Tu wymieniała sklepy znajdujące się na krańcach miasta. No, bądźmy obiektywni — raz tylko była to mierzka, kiedy indziej chodziło o wstążkę lub o coś równie ważnego.

W każdym wypadku szedł bez słowa protestu. Taki już był ten człowiek o gołębim sercu.

Ale kiedyś poskarżył się przyjacielowi na swe psie życie. Przyjaciel doradził zastosowanie dość drastycznych środków. Jan wahał się długo, bo, jak się rzekło, miał biedaczek miłkie serce. Aż raz pewnego, po burzliwej scenie, wywołanej jego niesmiałą opozycją — podniósł kij na kobietę. Laska zawiąta w powietrzu i opadła bezsilnie wraz z powalonym niemocą ciałem.

Nieutulona w żalu wdowa pobiegła do sławnego lekarza i wśród potoków łez wyjęczała:

— Doktorze, ratunku!

— Co się stało?

— Mąż, ukochany mąż umarł!

— Ciało nie zmiążdżone? — zapytał lekarz, tak jakby go obchodził jedynie ten szczegół.

— Calusienkiel! — Serce!!

— Serce? Głupstwo.

Po paru tygodniach, kiedy zoperowany nieboszczyk powracał do zdrowia, stało się coś nadzwyczajnego; rekonwalescent przemówił do małżonki: „z pozycji siły”.

Zalękniona, wydała kilka nieartykułowanych dźwięków i, nie uprzytomniaszy sobie, na co się skazuje ustępując, wykonała posłusznie rozkaz. Odtąd mąż przewodził, a żona stała się potulną towarzyszką życia. Jednakże złośliwy giez kąsał ją dotkliwie. Wspominała czasy swego panowania i ronila po kątach łzy.

A rozzuchwalony mężczyzna, nie napotykając oporu, zwiększał wymagania. Już teraz nie było mowy o krupniczku, ani o potrawce z niemowlęcia krowiego. Nie dość na tym. Tyran wymagał kolacyjek z przystawkami dla gości lupiących w brydza od wieczora do rana. Kiedyś po takiej libacji i czwartym nieszczęśliwie zaliczowanym szlemiku, o świcie gospodarz padł martwy. Nieutulona w oficjalnym żalu, a w głębi duszy uradowana, małżonka, znów pobiegła do sławnego lekarza. I znów odbyła się operacja z pomyslnym rezultatem.

W wielkim podnieceniu oczekiwała niedoszła wdowa powrotu do zdrowia dwukrotnie zmarłego małżonka. Kiedy mąż rozpoczął pracę biurową, pokazyły się na stole próbne baloniki w postaci nielubianych potraw. Kobieta uważnie śledziła reakcję zoperowanego. On — chrząknął, spojrzął jakoś nijako, ale zjadł bez słowa protestu. Przedczesna jednak okazała się radość przemysłowej żony. Gdy wystąpiła go na krańce miasta po rozliczne sprawunki według załączonej próbki — stracił mowę. Patrzył na żonę z miną obojętną, zupełnie się do niej nie odzywając. Mijały tygodnie, miesiące. Jan wciąż milczał. Nie wytrzymały wreszcie nerwy kobiety. Na przemian ronila łzy, wymyślała, groziła, aż w końcu padły słowa:

— Ty nie masz serca!!

Błogo się uśmiechnął — po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Wtedy, wpadając w istny szal; krzyknęła:

— Nie wiadomo co jest w twojej pierś, co, z czego i z kogo — z ryby czy z durnego niemowcy! Nie zobowiązuje kobiety, która cię poślubiła z sercem, z jakim przyszedłeś na świat!

Nie przestał uśmiechać się błogo.

LUDOMIR MAZELA

(Debiut)

Elegia alpejska

Pamięci Wawrzyńca Żulawskiego

Dames Anglaises —

Innominata —

Dru

w przepaściach ciszy
na krawędzi nocy i dnia
na krawędzi nocy i dnia
idźcie towarzysze po pęk cyklamenu
idźcie w doliny
furioso gór — gejzer biały nad
[Mont Blanc]

a potem
straszliwy wybuch ciemności
— śnieżna coda

idźcie towarzysze po pęk cyklamenu
idźcie w doliny

złota kurczawa wleciał dzień
w słońcu już

Dames Anglaises —

Innominata —

Dru

MIMO tych niedopowiedzeń, które widz odczuwa przy pierwszym kontakcie z filmem, a uzmysławia sobie w pełni po refleksji — „Ostatni akt” ma poważne zalety, zarówno warsztatowe jak ogólne. Historia dostarczyła tu twórcom materiału wdzięcznego, ale zarazem niebezpiecznego przez ładunek ekspresji zawartej w samych faktach, ekspresji prowokującej do przejawaskrawości; zasługą twórców jest wielka powściągliwość, surowość, rzekłobyś klasyczność narracji filmowej. Zwraca uwagę, że film Pabsta jest prawie zupełnie wolny od przerosłów ekspresjonizmu, które cechują większość dzieł z kręgu szkoły niemieckiej; na pochwałę zasługuje także oszczędne posługiwanie się efektami naturalistycznymi, których zastosowanie również nasuwał temat. Nie ma w filmie kreacji na największą miarę, ale jest wysoka przeciętna i dwie role ponad przeciętność: Albina Skody (Hitler) oraz Oskara Wernera (kapitan Wüst). Zwłaszcza ciekawie potraktowano Hitlera: główny nacisk położono nie na wierność zewnętrzna, ale na możliwie wierność czy raczej prawdopodobne odtworzenie jego psychiki. Przy dużej liczbie występujących osób i kilku wątkach akcja rozwija się niezwykłe jasno i czytelnie.

(Dokończenie na str. 8)

Ostatni akt

(Dokończenie ze str. 7)

nie; z pomocą reżyserowi przychodzi tu solidna, nieefekciarska robota operatora i montażyści. Reżyser umiał z licznych scen przy wielkiej zwięzłości języka filmowego osiągnąć maksimum znaczenia i wyrazu: taka jest scena, gdy żołnierze — dzieci, po otrzymaniu z rąk Führera oznaczeń — rzucają się na tacę z ciastkami, taka scena, gdy kapitan Wüst „służbowym” wrzaskiem osadza natrętnego hitlerowca. Konsekwentnie, dosadnie ale nie przesadnie przeprowadzono kompromitację Hitlera, nie wariata i nie demona, ale małego, nędznego egoisty, który uwierzył we własną wielkość i do ostatniej chwili nie chce zrezygnować ze swych iluzji, gotów zapłacić za nie najwyższą cenę — cudzym kosztem. Trafnie wydobyta została atmosfera wiesielskiego humoru, opanująca bunkier w obliczu rychłego końca. Największym jednak walorem filmu jest nieklamana pasja, budząca uznanie i sympatię dla twórców: pasja antywojenna, która chwilami przywodzi na myśl tak różną skądinąd „Wielką iluzję” Renoira. „Ostatni akt” zwraca się przede wszystkim do Niemców, a jakkolwiek nadmiernie oszczędza ich narodową miłość własną — to jednak mocno i niedwuznacznie przeprowadza zasadniczą tezę, że wojna jest tragicznym złem, synonimem masowej śmierci, cierpienia i niedoli. I że ci, którzy pragną wojny i doprowadzają do niej, są wrogami własnego społeczeństwa. Dzięki przekonującemu artystycznie sformułowaniu tej prawdy „Ostatni akt” jest dla nas dziełem nie tylko interesującym, ale i bliskim.

P. S. Uwaga pod adresem niektórych naszych filmów o tematyce okupacyjnej: jak ci Austriacy świetnie „robią” Niemców. Tylko patrzeć, otrząść się i... uczyć.

Tajoj

W SPRAWIE MAZURKA DĄBROWSKIEGO

SZANOWNA REDAKCJO!

W 14 numerze „Kamenu” z dnia 31 sierpnia ubiegłego roku, zamieszczono artykuł p. Józefa Radziwińskiego pt.: „Narodziny Mazurka”. W artykule Autorka przytoczyła dwa cytaty pochodzące jakoby z listu Wybickiego do M. Ogińskiego, w którym autor libretta Mazurka Dąbrowskiego zwraca się z prośbą do kompozytora o stworzenie melodii do piosenki. Listu tego nie znajdujemy w Archiwum Wybickiego, nie znaliśmy też badacze zajmujący się historią naszego hymnu, — tej miary co S. Askenazy, L. Finkel i T. Korzon. Ponieważ zajmowałam się szczegółowo genezą Mazurka, artykuł ten wzbudził moje uzasadnione zainteresowanie. W listopadzie ub. r. złożyłam w „Pamiętniku Literackim” obszerną rozprawę pt. „Mazurek Dąbrowskiego w powstaniu listopadowym”. W pracy tej kilkanaście zdań poświęcałam melodii Pieśni Legionów. Wokół tej sprawy krążyło wiele kontrowersji. Badacze zajmujący się historią naszego hymnu podzielili się na dwa obozy, wysuwając dwóch pretendentów do zaszczytnego tytułu kompozytora piosenki — M. Ogińskiego i J. Wybickiego. Odmienne stanowisko zajął S. Askenazy przypuszczając, iż Wybicki ułożył libretto na nutę jakiegosi łatwego do przyswojenia mazurka ludowego.

Kwestię wyjaśnili dopiero w sposób bardziej kompetentny historycy muzyki, choć i tu nie obyło się bez długich sporów. Decydujący głos przypadł w udziale L. Kamińskiemu, który na podstawie anonimowego rękopisu muzycznego Pruskiej Biblioteki Państwowej w Berlinie potwierdził hipotezę Askenazego, że melodia hymnu została oparta rzeczywistości na starym wizerunku ludowym. Był to dodatkowy argument tłumaczący szybkie rozpowszechnienie się pieśni wśród Polaków na obczyźnie i w kraju.

Cytaty z artykułu p. Radziwińskiego, o ile są autentyczne, burzą cały dotychczasowy stan badań nad tą kwestią i zdecydowanie świadczą o tym, że autorem melodii był jednak M. Ogiński. Cały kłopot w tym, że p. Radziwińska nie wyjaśniła w przypisie, skąd czerpie owe cytaty. Nie wiem, czy są one fikcyjne, czy też mają porządnie źródło. Dlatego prosilibym bardzo o przekazanie tego listu Autorce artykułu wraz z moją gorącą prośbą o wyjaśnienie.

Sprawa jest dla mnie bardzo ważna, bo Mazurek Dąbrowskiego i jego recepcja w wieku XIX jest tematem mojej pracy doktorskiej. Piszę dopiero teraz, bo wspomniany numer „Kamenu” wpadł mi w ręce, całkiem zresztą przypadkowo, parę tygodni temu.

Serdecznie proszę o spełnienie mojej prośby.

Z góry dziękując, łączę wyrazy głębokiego pozawania

mgr Ewa Knobloch

Wrocław, dnia 9 stycznia 1959 r.

1. M. Skalkowski — „Archiwum Wybickiego”, t. I, Gdańsk 1948.
2. T. Korzon — „O „Mazurek” Dąbrowskiego”, „Tygodnik Ilustrowany” 1911, nr 1 oraz I. Chrzanowski — „Nasz hymn narodowy”, Lwów 1922 s. 9/10.
3. Skalkowski, op. cit., s. 244.
4. S. Askenazy — „Napoleon a Polska”, t. II, W-wa 1918, s. 299. Hipotezę Askenazego popierał częściowo W. Berent w „Nurcie” (Pisma, t. IX, Warszawa 1934, s. 127).
5. L. Kamiński — „Kto był kompozytorem naszego hymnu narodowego”, „Muzyka” 1934, nr 6-7 i 10-12.

KSIEGARSKIE nowaliki

Na czoło najświeższych nowości wydawniczych literatury przekładowej wysuwa się dawno oczekiwany nowy przekład (trzęci powieści J. Dos Passosa „MANHATTAN TRANSFER” (Czyt., opr. płóc., c. z 30, nakł. 10.000), w której autor zawarł nie tylko ćwierć wieku życia swych bohaterów i całej dzielnicy N. Yorku, ale także z wielką pasją odwzorzył klimat i duszę ludzkiego zbiorowiska amerykańskiej metropolii. Tłumaczenie T. Jakubowicza.

Nie mniej ciekawa dla polskiego czytelnika pozycja będzie pierwszą przekład polski (pióra A. Galisa) dzieła utalentowanego pisarza radzieckiego lat dwudziestych — J. Oleszy. Powieść jego pt. „ZAWIŚĆ” (PIW, opr. brosz., c. z 7, nakł. 5.000), zawierająca pewną nutę pesymizmu, wyprzedzającego o obaw autora o los jednostki, kultury duchowej i twórczości artystycznej w socjalizmie, była powodem poważnych ataków na osobę pisarza na 1. Zjazdzie niemieckich w r. 1941, co zmusiło Oleszę do namyślnego i bezwzględnie. Również PIW postarał się o przekład lądzkiej pieśni Kawała Czapka. Jest nią „OSIEM TWARZY MISIĘŻA POŁYNA” (opr. brosz., c. z 9, nakł. 5.000), dzieło, którego ukończenie uniemożliwiła śmierć autora. Ostatni rozdział tej książki dopisała później żona pisarza, w tajemniczość przez męża w zamysł twórcy powieści i jej plan. Treść książki stanowią relacje osmiu różnych osób o merzaniach-kołobrozowcach, usiłującym osiąść światłowa wspaniałą operę, do której tworzywo gromadzi w niezbyt szlachetny sposób, ponosząc w wyniku swych machinacji ciężkie życiowe. Przekład E. Witwickiej.

Z literatury hiszpańskiej należy wymienić wnet na półkach księgarskich rzecz raczej rzadką: radziecką powieść kryminalną. Jest nią sensacyjna powieść pary autorów: M. Lanskiego i J. Resti pt. „W NOCY WSZYSTKIE KOTY SĄ CZARNE” (Wyd. „Ślask”, opr. brosz., c. z 7, nakł. 20.000) w tłumaczeniu M. Niewiarowskiego.

„Wiedza Powszechna” wypuściła następną z kolei tomik cyklu „Myśli srebrne i złote” — tym razem afrykański — pt. „Z CZARNEGO ŁADU” (opr. płóc., c. z 15, nakł. 10.000) w opracowaniu naszych specjalistów od etnografii i folkloru murzyńskiego: J. Mantel-Nieckowej, N. Piłszczykowej i R. Stopy.

Wznowienie przez Wyd. Poznańskie w serii PAS (Przygoda, awantura, sensacja) fantastycznej powieści A. C. Doyle’a „TRUJĄCE PASTO” (opr. brosz., c. z 5, nakł. 40.000) nastąpiło po tak długiej przerwie, że nie tylko pokolenie najmłodsze, lecz i średnie przywita ją mile jako dobrą nowość sensacyjną i całkiem na czasie. Tłumaczenie L. Owezarzaka.

Ze wznowień właściwych muszę zaawizować nową edycję rozezwytanej dosłownie przed paru miesiącami powieści historycznej M. Bellonci (w przekładzie B. Sieroszewskiej) pt. „LUKRECJA BORGIA, JEJ ŻYCIE I CZASY” (wydane przez PIW w niemal identycznej szacie graficznej (dwa tomy, opr. brosz., c. z 50, nakł. 20.000).

Z literatury rodzimej wypada mi omówić w pierwszej kolejności dwie książki, których autorki powiązały los tragicznymi przeżyciami ich ojców. Pierwszą z nich jest córka Jana Kasprzowicza (z pierwszej żony, Jadwigi z Gasowicza) — Anna Kasprzowicz-Jarocka, która w swej książce „POETA I MIŁOŚĆ” (PIW, opr. brosz. + obw., c. z 15, nakł. 4.200) na całokształcie zachowanej i uporządkowanej korespondencji swych rodziców daje nam możliwość przesiedlenia ich tragedii osobistej, spowodowanej wargnięciem w ich życie żywiołowej postaci Przybyszewskiego. Komentarz kompetentnego, choć zaangażowanego uczuciowo świadka, jakim jest p. Jarocka, uzupełnia lukę i niedomówienia korespondencji, dając nam znakomity przyczynek do zrozumienia bodźców twórczych wielkiego poety i warunków rozwoju jego talentu od chwili poznania Jadwigi.

Autorką drugiej książki jest Stanisława Przybyszewska (nieślubna córka malarzki, Anieli Pakajówny), która nazwisko swego ojca uzyskała dopiero po śmierci matki, zgaspie cicho w Gdańsku w roku 1935 jako skromna nauczycielka języków obcych. Powieść jej pt. „OSTATNIE NOCE VENTOSE” (Wyd. Literackie, opr. brosz., c. z 16, nakł. 8.000) próbuje wyjaśnić genezę i przebieg tragicznego zatargu pomiędzy

NOTY • NOTY • NOTY

TRAKL PRZYPOMNIANY. W grudniowym n-rze „Twórczości” z ub. roku zamieszczono kilka utworów Georga Trakla w tłumaczeniu St. J. Leca i szkic o austriackim poecie Jana Prokopa, który na wstępie zaznacza: że Trakl „u nas jest prawie zupełnie nieznan”. Uppomniemy się o komentarz do tego „prawie” przypominając, że w przedwojennych rocznikach „Kamenu” znajduje się 9 wierszy Trakla w przekładach P. Hertz, S. Napierskiego, Z. Waśniewskiego i J. K. Weintrauba. W antologii Stefana Napierskiego (Poezji niemieckiej cz. II, Biblioteka Kamenu 1937) są 4 wiersze Trakla.

PORZĄDKI WE WŁASNYM DOMU — pod tym tytułem D. Zelińska zamieściła także bardzo słuszne rozważania na temat polityki wydawniczej w zakresie wyboru nazwisk i tytułów. Autorka stwierdza, że w każdym rodzaju literackim mamy do wyдання „nieprzyzwyczajone” i przytacza pozycje (konieczne wznowienia, przekłady, nie wydane rękopisy), które miałyby zapewnić powodzenie i wśród których znalazłyby się bestsellery.

ANTOLOGIA LIRYKI ANGIELSKIEJ (1300—1950) w wyborze i przekładach Jerzego Pietrkiewicza ukazała się nakładem londyńskiego „Veritasu”. Każdemu przekłado-

odpowiedzi redakcji

J. Les. Ord. w Toruniu. Skąd Pan wie, że mam dobre serce? Niestety. Co to znaczy „pałce unerwione świeczników”? Albo: „schodkami akordów staccat miarowych pauz”? A jak to się robi: „nogi — długie do zaciekania przez odpozynek przewieszni”?

Z. Z. w Lublinie. Najciekawsze „Godziny”: „Godziny zatopione w morzu czasu / utracone godziny / jak nurek życia / w rozpaczy / szukam was bezpowrotnie”. O wiadomej sprawie nie Pan nie pisze.

Stanisław Kisiel w Wisznicach. Próbkę Pańskiego kilkunastoletniego (eje!) kolegi, który „pozostaje incognito”, świadczy o pewnych możliwościach autora, choć są jeszcze bardzo surowe. Przekłady nieudolne, nie rastanawia szeroki, jak się to dziś mówi, „wachlarz” zainteresowań. Goethe, Puszkina, Lermontow, Nadson. Może by z tej bajki był kiedyś chleb, ale mieszkać na głębokiej prowincji trudno się rozwijać.

Stale! Czytelniczko „Kamenu”. Bardzo cieszyliśmy się, że mamy w Pani uważną czytelniczkę, dostrzegającą błędy przeoczone w naszej korekcie. Istotnie happy end i głisla pisze się tak, jak Pani podała. Z kole i my prostujemy „tym bardziej” i „poza tym” z Pani anonimowego listu, wyrazy, które należy pisać tak, jak wyodrębniliśmy to teraz. Przesyłamy serdeczne podziwowanie.

St. Elm. w Krakowie. Przykro nam bardzo, ale to, co Pan przysłał, nie ma żadnej wartości. Zamiast pisać radzimy na razie czytać poezję.

Dion. Mal. w Ostrołęce. Nie tylko Pan czeka tak długo. To nie przekładza, że może Pan przysłać nowsze wiersze.

And. Tch. w Warszawie. Zamieściłbyśmy utwór „módl się”, ale pod Pańskim, nie Piętką (!?) nazwiskiem. Zresztą nie wiemy, w jakim celu przysłał Pan te wiersze w dwóch kopertach bez żadnego listu.

Autorce opowiadania „Lokator i wojna”. Czas, który Pani spędza na pisanie, nie jest zmarnowany. Opowiadanie prawdopodobnie zamieścimy (nie bardzo przedko). Prosimy o czytelnie napisane imię, nazwisko i adres.

R. Deb. w Warszawie. Jesteśmy skłonni wydrukować „Wyjazd”. Jednak musi Pan uzbroić się w cierpliwość, ponieważ w tece redakcyjnej jest sporo prozy, która długo czeka.

Edmund G. „Spotkanie na tratwie” nie nadaje się do druku. Pointa jest niezła, choć kiedyś całok — bardzo słaba.

W. Pawl. „Ciotkę” możemy zamieścić (w rubryce debiutów). Kiedy? Raczej w dość odległym terminie.

Robespierrem a serdecznymi jego przyjaciółmi Karolem Desmoulins i Dantonem, który doprowadził do ich aresztowania i ścięcia.

Trzecia książka Czajki (Izabeli Stachowicz), wydana przez „Iskry” pod tytułem „LECE W ŚWIAT” (opr. brosz., c. z 25, nakł. 5.000), jest pisany z wielką werną pamiętnikiem z podróży autorki do Francji i Ameryki Południowej, przepięknym wspomnieniami z odległych lat jej młodości (próbki czytaliśmy w „Przekroju”).

Do ponurych wspomnień okupacyjnych nawraca M. Frenkel w swej książce pt. „TO JEST MORDERSTWO” (Wyd. „Ślask”, opr. brosz., c. z 12, nakł. 7.000), dając wstrząsającą relację o tragicznym losie Żydów łwowskich podczas ostatniej wojny.

Ze wznowień literatury polskiej na czoło wysuwają się — drugie, staranne wydanie książki S. Serafińskiej „JAN MATEJKO — WSPOMNIENIA RODZINNE” (W. Lit., opr. płóc., c. z 85, nakł. 5.000), oraz „SAMOTNOSC” Zofii Bystrzyckiej (Czyt., opr. brosz., c. z 22, nakł. 10.000), której pierwsza edycja z r. 1957 została dobrze przyjęta przez czytelników i rozprzedana.

Nowinkarz

wi zamieszczonemu na parzystej stronie książki odpowiada tekst oryginalny wydrukowany obok po lewej stronie. Wśród tłumaczeń znajdują się dwa wiersze pl. „Polska” — Alfreda Tennysona i G. K. Chesterton.

CYRK PCHEL — gwałtowna inwektywę przeciwko „kultowi bezczynności, niedorzeczności, podwózkowemu kuglarstwu” młodej sztuki zamieścił Jan Brzechwa w n-rze I „Świata”. Ale przede wszystkim chodzi mu o poezję. „Nawet redaktorzy czasopism — twierdzi autor — dali się zwieść mistyfikacji, nawet oni celebryci młodej niezrozumiałstwa, dopatrując się w nim głębinowej metafory i podnosząc je do rangi kanonu nowatorskiej poezji. Nawet wydawcy woła stosować pojedyncze uniki, zastanawiając się argumentem, że poezja nie idzie. Nie idzie tylko poezja, która nią nie jest”. Rzecz napisana z dużą pasją kończy się apelem: „Ludzie! Obywatele! Czytelnicy! Nie dawajcie się mistyfikować!”

SPRAWĘ NAPRAWDĘ GROZNA — „umasowienia wyobraźni” porusza Wiktor Woroszyński w dwukrotnie tu już wymienianym styczniowym n-rze „Twórczości”. „Wszystcy uprawiają poezję... W jednym z największych naszych wydawnictw na rok 1959 prozy polskiej nie przewidziano: teki są puste. Za to podpisano umowy na kilkadziesiąt debiutów poetyckich. Inne wydawnictwo ogłosiło, że zbiera materiały do kolejnego almanachu młodych. Dwieście set jeszcze nie znanych poetów nadesłało swoje teksty. Jedną trzecią zakwalifikowano do druku”. A co najstraszniejsze: „Zeby chociaż ci młodzi ludzie byli grafomanami! Ale... oni są zdolni!... Oni są precyzyjni, masowo powielani!... „Poezja potwornie zdewaluowana, poezja coraz wyższych liczb i coraz niższej siły nabywa”. A raczej „gra towarzyska, rozrywka, sport — młde, łatwe i popularne zajęcia młodzieży”, która „dosiadła skuteru wyobraźni”. „Ladniejsze to i mniej szkodliwe społecznie niż alkohol, ekscyjs seksualne czy wyrzucanie pasażerów z pędzącego pociągu”. Tyko że — kofezy Woroszyński „Jeśli każdy potrafi pisać niezłe wiersze współczesne — niech je ogłasza w gronie rodzinnym i koleżeńskim. Nie ma zaś powodu, aby w jakichś tam nakładach powieści przeciętne rozwiązania łatwej i popularnej gry towarzyskiej”. Słowem tym można tylko przyklasnąć.

-kaj-

O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Styczniowy nr (5) „Kamenu” z r. 1934 zawierał artykuł Stanisława Czernika „Synowie ziemi”, część V poematu Józefa Łobodowskiego „Noce lubelskie”, wiersze Zenona Waśniewskiego i Czesława Miłosza, kołumne najmłodszych (Wacław Iwanuk i Wacław Mrozowski), artykuł o poezji serbołujskiej i tłumaczenia (Jan Skala i Józef Nowak) Ludomira Rubacha, przekład K. A. Jaworskiego poematu Aleksandra Błoka „Ogród słowicy”, kronikę słowiańska, noty i rubrykę „Pro urbe sua”. Zeszyt uzupełniła wkladka linortowa Zenona Waśniewskiego „Moja ulica”.

SIĄŻKI NADESLANE

- Jerzy Grot — Józef Szczubielski: Helena Modrzejewska, PIW 1958.
Kazimierz Chłędowski: Dwór w Ferrarze, PIW 1958.
Tadeusz Zeliński-Boy: Dziewice konsystorskie, PIW 1958.
Tadeusz Zeliński-Boy: Dziewice konsystorskie, Piekił kobiet, Jak skończyć z piekił kobiet, Nasi okupanci, PIW 1958.
Tadeusz Zeliński-Boy: Nasi okupanci, PIW 1958.
Henryk Ibsen: Dziką kaczką, przełożył Jacek Frühling, PIW 1958.
Gotfryd Keller: Romeo i Julia na wsi, przełożyła Izabella Czermakowa, PIW 1958.
Jan Spiwak: Zielone ptaki, PIW 1958.
Sławomir Kryszka: Pięciogroszówki słońca, PIW 1958.
Marian Pankowski: Sto mil przed brzegiem, PIW 1958.
Stefan Żółkiewski: Kultura i polityka, PIW 1958.
Aleksander Dumas: Hrabina de Charny, przełożyła Camilla Mondral, Wyd. Łódzkie, 1958.
Księgi humoru — od Reja do Niemcewicza, wyboru tekstów dokonali i przypisami opatrzył Stanisław Czernik, Jan Huszcza i Juliusz Saloni, Wyd. Łódzkie 1958.
Igor Sikirycki: Przygoda biedronki, Wyd. Łódzkie 1958.
Michał Kajka: Zebrałem snop plonu... LSW 1958.
Henryk Ibsen: (Upiór — tłum. Jacek Frühling; Rosmersholm — tłum. Józef Giębułtowiec; Budowniczy Solness — tłum. Włodzimierz Lewicki; John Gabriel Borkman — tłum. Anna Maria Linke; Gdy wstaniesz z martwych — tłum. Józef Giębułtowiec), PIW 1958.
Józef Ignacy Kraszewski: Na królewskim dworze, LSW 1958.

Rysunki w numerze:
Teresa Targońska (str. 3)
Jan Padée (str. 7)

Dwutygodnik literacki „Kamena” • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. z 12, półrocznie z 24, rocznie z 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmuje wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywana się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie z 16,80; półrocznie z 36,40; rocznie z 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 269. 20.1.59. E-2